Nr. 15 (1111). Warszawa, dnia 30 Marca (12 Kwietnia) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

CO BĘDZIE Z TRANSWALEM?

Po wielkim huku, jakiego narobiły lutowe jeszcze zapędy dyplomatyczne o pokój, nastała nagle cisza, usprawiedliwiona częścią doniesień i nowem położeniem, wytworzonem przez odpowiedź odmowną rządu angielskiego, który z wielkiego gościńca dyplomacyi międzypaństwowej zwrócił wszelkie zamysły i pożądania na wązką, skromną a niebezpieczną, bo wśród bagnetów i armat wijącą się, ścieżynę bezpośrednich układów samych „powstańców“ z wodzem naczelnym. Potrzeba było czasu, aby z samych Boerów wydobyć i wolę jednolitą a stanowczą i organ dla niej konieczny do układów. Wydobycie woli, którąby rzeczywiście wspólną była całemu organizmowi Boerów, jeżyło się odrazu trudnościami, a nawet przeszkodami zasadniczemi. Skłonniejsi są do pokoju, bo srożej zmordowani wojną i osłabieni, Transwalczycy, niż Orańczycy, a przytem ci południowi Boerowie mają nad sobą Steina, który już przed wojną był zapaleńszym od Krügera i wybitnych mężów na północy, i teraz jeszcze odwraca ze wstrętem wzrok od ostatecznego kresu — zaniechania walki.

Niema jeszcze żadnej pewności, czy w obecnej chwili ten wstręt szlachetny prezydenta Rzeczypospolitej Orańskiej ustąpił już przed zwykłym ludzkim, po ziemi i rzeczywistości pełzającym, ale zdrowym i z tytułu właśnie zdrowia na prawo i na lewo sławionym rozsądkiem. Kiedy d. 22 marca Schalk-Burger, zastępujący Krugera na stanowisku, dziś już z osobistemi niebezpieczeństwami złączonem, przybywał wraz z Reitzem, Kroghem i Meyerem Łukaszem do Pretoryi dla zawiązania układów, jeszcze Stein nie powiedział był ostatniego swego słowa, jeszcze Delarey i De Wett trzymali z nim, silni niezawodnie rozpaczą, ale może i tą nadzieją, o której jeden ze Starożytnych powiedział: *Contra spem spero.* Najlepszym dowodem niewyrobienia się u Orańczyków naczelnych woli pokoju są opóźnione rokowania Schalka ze Steinem, głównie z powodu nierozstrzygnięcia jeszcze zasadniczej wątpliwości: czy bracia z za Vaalu zechcą już broń złożyć. Telegram z d. 7 b. m. „narady ze Steinem i Delareyem toczą się leniwo“ (w okolicach Croonstadtu) nie wymaga komentarzy; powziąć z niego można wyobrażenie o nastroju psychologicznym jednej ze stron w przyszłym akcie pokoju występujących.

Z wyjątkiem pojedynczych a wybitniejszych postaci, które mogły oporem indywidualność swą stwierdzać, Transwalczycy mieli w Schalku d. 22 marca rzeczywistego przedstawiciela swej woli—po półtrzecioletniej wojnie pragną już wytchnienia. Schalk jechał z gotowem *maximum* ustępstw, jakie Anglikom z żądania niepodległości uczynić można. Niewątpliwie też otrzymał od Anglików *minimum* tego, co z żądania Boerów straconem być musi i będzie. Gdyby różnica była wielką, wzruszająca same podstawy woli, rokowania pretoryjskie byłyby się odrazu rozchwiały z Anglikami — a stałyby się zbytecznemi pomiędzy obu zwierzchnikami zespólni państwowych. Samo ich trwanie w tym obrębie dowodzi takiego pochylenia się woli Boerów północnych ku Anglikom, że ci gotowi są jeszcze do dalszych układów. Jeżeli rokowania się rozbiją, to tylko wskutek oporu Steina; ale wtedy też wystąpi wielkie niebezpieczeństwo: rozszczepienie się dwu części jednej żywej całości. Siła duchowa będzie w tej, która układy odrzuci. Ale naprężanie tej siły ponad wytrzymałość natury ludzkiej, człowieka jako rodzaju, grozi jej niebezpieczeństwem gorszem od tego, przez jakie przeprowadzić może narodowe serca Boerów dobrowolny układ z Anglikami.

Nie brak objawów tej grozy, która byłaby klęską gorszą od podpisania aktu pokoju czy poddania się. Własny syn prezydenta Krügera, niegdyś sędzia naczelny rzeczypospolitej połudn.-afrykańskiej, złożył jakoby przysięgę na wierność Anglii. Jest to fakt przerażający — pełna krużа smutku wlewającego się w serca, od Boerów przestrzenią dalekie, ale wszechludzkiem współczuciem jakże blizkie! Było już i będzie takich faktów więcej. Gdyby Schalk-Burger ośmielił się zawrzeć pokój bez Orańczyków, takim faktem, ale już ogromnej materyalnej i moralnej doniosłości, byłoby podpisanie umowy, bez oglądania się na braci z za Vaalu. Istota współbytująca, duch zbiorowy otrzymałby wtedy cios śmiertelny. Nie o wiele mniejsze a rozkładowe znaczenie miałaby reakcya w łonie bądź Transwalu, bądź Oranii, zorganizowana w jeden obóz ugodowy i kroczaca do pokoju, choćby po trupach swych przewódców cywilnych i wojskowych tej arystokracyi, zdobywanej wciąż i spełnianej poświęcaniem wszystkiego, co dla rodzaju jest najdroższem, ale co dla indywiduum w kręgach ponad rodzajowych żyjącego, nieraz musi być i powinno być—źdźbłem słomy, zeschłym liściem, marną okruszyną bytu.

Czasy nowożytne, zmieniając formułę życia, zmieniły też i formułę bohaterstwa i samego nawet obowiązku. Nawet tak małe (jakie 800,000) społeczeństwo, jak boerskie, nie może już dzisiaj zginąć, jak zginęła Numancya; nie może walczyć literalnie do upadłego—dopóki nie zginą wszyscy i chyba

ocaleje tylko ten, którego los wybrał sobie na ofiarę katowni najstraszniejszej ze wszystkich — na tym najlepszym ze światów. Nie będzie już drugiej Numancyi: wymordowywanie ciał jest już zbytecznem dziś, gdy można sobie wyprawiać rzezie z duchów; człowiek dzisiejszy nie umie już z takim spokojem, a bez nadziei, patrzeć w daleką baterye czy karabin zabijający z odległości, jak starożytny patrzał na miecz nagi o kilka kroków tylko błyskający mu śmiercią. Zwycięzca nie potrzebuje już wycinać w pień; zwyciężony nie umie już umierać. Cywilizacya i kultura robią swoje: chwytają człowieka w sieci i plączą w nich i wypuszczają żywego — ale z innem już tętnem życia. Boerowie transwalscy i orańscy w oczach naszych spełnili obowiązek swój tak świetnie, że mają prawo za spełniony go uważać. Jednego tylko lękać się dla nich potrzeba— podłości. Momenta jej tematyczne wskazano wyżej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

D. 27 z. m. zjechali się w Wenecyi Bülow z Prinettim. Mieli roboty sporo: przymierze polityczne, traktat handlowy, Tripolis, Albania, stosunek obustronny do Austryi, Chiny i Korea. Najważniejsze, a największą tajemniczością osłaniane były rokowania w sprawach gorących na dobie. Telegraf o nich wcale nie wspominał; w innych dawał ogólnikowe twierdzenia i przeczenia, migawki, niepozwalające nic widzieć. Rzecz prosta, że przymierze potrójne weszło już w nałóg, wraz z utajonem w niem przymierzem dwóch. Najciekawszem właśnie jest ustosunkowanie się dwóch przyjaciół do trzeciego, który koszta przyjaźni potrójnej, w niedalekiej już może przyszłości, ma ponieść; ale tego nie powie ani p. Prinetti, ani p. Bülow. Dzięki konieczności, która przykuła już w r. 1866 Włochy do Niemiec, królestwo Wiktora Emanuela III otrzymać musiało z Berlina pozwolenie na wielką śródziemnomorską politykę. Skorzystać z niego wszakże nie prędko będzie mogło.

We Francyi Izba poselska uchwaliła budżet przed samą wielkanocą, Senat dopiero po świętach. Posłowie zasiedli d. 29 z. m. po raz ostatni w tym składzie Izby. Deschanel miał mowę o zasadach wielkiej Rewolucyi. Wybory ogólne odbędą się 27 b. m. Spodziewają się po nich wzmocnienia stronnictwa szczerze - republikańskiego i demokratycznego. Już i tak w chwili obecnej 32-letnia rzeczpospolita *faute de mieux* jest nadspodziewanie silną i wytrwałą i zdaje się, że chyba tylko cezaryzm mógłby ją zwalić a anarchizm zburzyć od wnętrza.

W Wiedniu na naradzie wszystkich trzech gabinetów Austro-Węgier, postanowiono zażądać 2 mil. koron na próby strzelania z nowych dział i sprawić monarchii 45 bat. górskich, 13 bat. haubic; razem około 400 dział bojowych. Rusini wracają na uniwersytet lwowski: ministeryum pozwoliło na ustępstwa w sprawie języka wykładowego.

Król Alfons XIII doczeka prawdopodobnie pełnoletności swojej d. 13 maja. Matka, rząd i naród nawet, przygotowują wielkie uroczystości. Hiszpania jako wielkość jest już tylko cieniem. Największą jej potęgą jest jej położenie geograficzne. Posępny humor hiszpański pogodził się już i ze straszliwą klęską r. 1898. Żyje się niby, ale tylko półżyciem. Na uroczystość majową zjedzie i smutnej pamięci babka Izabella, i wuj Eugeniusz od Austryi; ks. Connaught od Anglii; ks Genui od Włoch; ks. Albrecht od Prus; nawet Belgia przyśle ks. de Ligne. Będzie korona, będzie przepych, będzie radość nawet szczera — ale wielkość polityczna już przepadła, a stan społeczny—okropny. Może z młodym królem wejdzie i młoda siła. Szlachetnemu narodowi szczerze życzyć jej potrzeba.

Zmarł d. 1 b. m. w Kamberg w Nassau poseł, Lieber, urodz. w r. 1838. Był on w stronnictwie centrum przywódcą mieszczaństwa i zawodów wyzwolonych; panowie i szlachta szli pod Ballestremem. Za niego stronnictwo spodlało; utraciwszy Windhorsta, nie znalazło w sobie już człowieka z głęboką piersią „maleńkiej Excelencyi z Meppen." Prusactwo wydziera umysły i serca; tylko jeszcze sprawy czysto katolickie krzeszą z centrum trochę ognia.

Na drugi brzeg przewiózł Charon także słynnego Cecila Rhodesa, który ponad Salisburego i Chamberlaina wzbijał się jako *spiritus rector* rządu londyńskiego w walce z Boerami, a w wyobraźni swej wytworzył przyszłe cesarstwo angielskie w Afryce. Połowę wielkiego majątku zapisał „na wychowanie rasy anglo-saksońskiej w duchu imperyalizmu." Do rozpalenia tego ducha swojemi knowaniami i napaściami brutalnemi na Hollendrów afrykańskich już za życia ogromnie przyłożył. „Imperyalistyczni" Anglicy zgon uznali za stratę narodową.

Na półwyspie Bałkańskim ruch już się zaczął—w okolicach Nowego Bazaru i w samym nawet mieście. Kajmakan turecki zamknął się w forcie. Albańczycy zacięcie występują przeciwko Turkom. Na pograniczu Bułgaryi także starcia. Rosya i Austrya w myśl układu z roku 1896 wystąpiły z przedstawieniami w Stambule. To jednak, choćby i skutek przyniosło, nie zażegna ruchu. Sarafow podburza Bułgarów macedońskich. Codzień w telegramach pełga jakiś płomyk.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Co wiemy o prowincyi? — Prasa warszawska a prowincyonalna. — Stowarzyszenia na prowincyi. —Z Pabianic. — Biały teror w „Ziarnie" łódzkiem. — 542 : 300,000.— „Wyjaśnienie prezesa Chełchowskiego w płockiem Tow. rolniczem. — Idealny cement lubelski. — „Ceres." — Duch buntowniczy w Radomskiem. — Radom się bawi. — Wielka sensacya *Gazety Radomskiej*, czyli biegający nieboszczyk.

Otem, co się dzieje na prowincyi, wiemy w Warszawie bardzo niewiele. Jakieś pusto brzmiące wyrazy, po za którymi najczęściej nic kryje się żadna treść ideowa, jak: parafiańszczyzna, zaścianek, kąt zapadły, miejscowość zabita deskami od świata tkwią uparcie w naszej wyobraźni, jak gwoździe, których żadne obcęgi należnej sympatyi wzajemnej i poczucia wspólności nie wyciągną.

Ale też część winy tego zaniedbania czy lekceważenia spada na prasę tak warszawską, jak i prowincyonalną: warszawską — bo źle powiadamia swoich czytelników o życiu po za stolicą; donosi skwapliwie o pożarach, morderstwach, szajkach rozbójniczych, a najczęściej — o pogodzie, wysyła nawet specyalnych korespondentów w takich wypadkach nadzwyczajnych, by potem zapełniać swe szpalty lichą sensacyą;

---

15)

M. Grossek.

SERCE.

Okropna ofiara!... daremna ofiara!...— mówił ks. Dyonizy, jakby sam do siebie, ze zdumieniem i żalem.— Nie jestem lekarzem... nie wiem, o ile mu pomogłaś... lecz zdaje mi się, że się mylisz... A zresztą, kogożeś uratowała tak strasznym kosztem? Człowieka, który niema prawa do życia, skoro walczyć i cierpieć nie umie w latach dwudziestu, w zenicie sił, z perspektywą tylu nadziei. — Ten człowiek za dwa, za pięć, za dziesięć lat zwaryuje znowu z powodu ukąszenia komara, albo ze zbytku szczęścia, bo takie dusze psują się z lada powodu.—Ty, naturalnie, egzaltujesz jego miłość! — Silniejsze namiętności żyły w ludziach dawnych... Oni naprawdę miłowali jedną jedyną, gdyż po jej utracie wdziewali najczęściej habit, albo szli walczyć z Saracenami, umierając z jej imieniem na ustach, a wstążką przy piersi.—Ich serce kochało naprawdę, gdyż nietylko nie mogło, ale i nie chciało się pocieszyć, pielęgnując w sobie nawet łzy i boleść, jeżeli w to tylko obróciła się ich miłość. Patrzajże, iż oni nie zabijali się i nie szaleli! — Drogocenna esencya, którą wielka miłość napełniła im serce, stawała się eliksirem życia po bankructwie miłości. — W spalaniu się jej na ołtarzu czystych ideałów znajdowali jeszcze jakieś drugie smutne szczęście, gdy już raj uciech ziemskich był dla nich zamknięty.— O dusze dzisiejsze!... Dusze rachityczne, koślawe, zołzowate... wy zatracacie w sobie najwyższą moc ludzką—uczucie, ginie w. was najlepszy dar Boga—wielka miłość ku czemukolwiek na świecie, tak wielka, że nawet nieszczęśliwa jest dźwignią i pokarmem dla duszy...

— Nie, moja kochana!.., nie wierzę w miłość tego waryata! On dla tego tylko oszalał, że spotkał opór, którego niestrojne nerwy nie znoszą. — Złe, chore, kapryśne dziecko wpadło w konwulsye, niedostawszy cacka, a gdy się niem chwilę pobawi, rzuci je o ziemię i nogami podepcze. Oj, zobaczysz!

— Ojcze duchowny pragnę, aby to najrychlej uczynił...

— Czy może myślisz czekać na to? — O, nie, moja droga!—tego nie będzie.—Ja, twój przewodnik duchowny, rozkazuję ci natychmiast, dzisiaj, bez wszelkiego mędrkowania, zerwać występny konkubinat, a skutki do ciebie nie należą, te są w ręku Boga.

— Ojcze duchowny—prosiła Serafina — uczyń mi tę najwyższą łaskę i rozmów się z nim!.,. rozkaż mu. — Jakimkolwiek jest, nie trzeba, aby wpadał w szaleństwo, ani nawet cierpiał, skoro słaba jego dusza nie zdoła znieść cierpienia... Mniej go będzie boleć zerwanie, gdy go dokona twoja ręka, w imię twojej wysokiej władzy nad ludźmi.

— Dobrze — przystał ksiądz krótko, pochłonięty teraz całkowicie myślą, jak mu wypada w tej chwili postąpić, jako spowiednikowi. Serafina, nie spodziewając się rozgrzeszenia, z kolan powstała, lecz on ją gestem zatrzymał...

Cóż mu radziła kazuistyka?... czy taki wypadek sumienia był przewidziany przez Ojców Kościoła? Formalnie stał wobec klasycznego cudzołóstwa... ale duch tego postępku był tak całkiem inny... Tu nieszczęsna Serafina była raczej zgwałconą... Ona uległa swojej organizacyi psychicznej, z którą sprzysięgły się wypadki życia, tak jakby uległa w polu rozbestwionemu żołdakowi... To los ją zgwałcił!... Czyn ludzki tak zasadniczo przecież zmieniają towarzyszące mu okoliczności!.. I morderstwo nie zawsze jest występkiem. Wolno zabijać w obronie życia, a nawet mienia. Mord na polu bitwy nazywa się bohaterstwem. Judyta podstępem zgładziła ze świata tyrana swego ludu i zasłużyła sobie na świetną kartę w historyi. Ksiądz się

prowincyonalna — bo zadania swego w znacznej większości wypadków nie rozumie, bądź karmiąc swych odbiorców aż do znudzenia polityką zagraniczną i nędznym aż do rozpaczy działem literackim — popisy grafomanów, nigdy nie wątpiących o swym talencie — bądź też zasypując byle sieczką nieobszerne zresztą sąsieki swoich kolumn. A skąd dowiedzieć się np. o stanie ekonomicznym gub. Radomskiej czy Kieleckiej? o warunkach własności wielkiej czy drobnej? o dobrobycie lub nędzy chłopa? o miejscowym przemyśle od największego aż do domowego? o poziomie oświaty wśród ludu? Dzienniki na prowincyi mają przed sobą wielkie zadanie, należy je tylko podjąć i wypełnić.

Rzec można, że gdyby nie było stowarzyszeń: kredytowych, rolniczych, dobroczynnych, sportowych, życie społeczne w tym lub owym zakątku kraju nie przejawiłoby się niczem na zewnątrz. A i w tych stowarzyszeniach coś źle się dzieje. Nadzwyczaj charakterystyczne są pod tym względem wyrzekania korespondenta do *Gońca Łódzkiego* z Pabianic: istniejące tam od lat kilku Towarzystwo wzajemnego kredytu dla liczniejszych warstw ludności, zwłaszcza rzemieślniczej, jest zgoła niedostępne; brak ochronki dla dzieci katolickich; o kółku śpiewaczem mowy niema; a tymczasem „niemiecka ludność tutejsza posiada wszelkie możliwe stowarzyszenia dla uprzyjemnienia swego życia, jako to: śpiewacze, gimnastyczne i strzeleckie.“ Smutno czytać takie zestawienia, wykazujące nawet w kwestyach najdrobniejszych, jak Niemcy przewyższają nas instynktem zrzeszania się i jak, nawet na obcym im gruncie, potrafią „uprzyjemnić“ sobie życie. Przejmijmy od nich ten instynkt, kierując go, oczywiście, nie w stronę „przyjemności“ życiowych, lecz raczej ku rozumnej, wspólnej pracy społecznej.

Tych godeł nie wypisali na swej tarczy obecni kierownicy łódzkiego towarzystwa spożywczego „Ziarno.“ W nr. 78 *Rozwoju* redaktor tego dziennika, p. W. Czajewski, ukryty pod literami W. Cz., wydrukował gorący protest przeciw gospodarce obecnego zarządu i jego prezesa, ks. Zacharyasiewicza, którego karygodny absolutyzm staje się z dniem każdym coraz bardziej zuchwały. Prezes gwałci wybory, wtykając na zebraniu ogólnem każdemu z członków listy wyborcze, wprowadza 40 członków niezapisanych, pozwala wtargnąć do stowarzyszenia całej falandze ludzi, którzy nie myślą spełniać swych obowiązków członkowskich, lecz tylko wichrzą (z 1,100 wpisanych, opłaciło udział zaledwie 570), nawet wbrew opinii publicznej i postanowieniu pierwszego zarządu, aby nie przyjmować ofert niemieckich, przez dłuższy czas utrzymuje w sklepie niemieckie napisy i ogłoszenia... Otóż to nasze zrzeszanie się! Mamy jednakże nadzieję, że znajdą się w Łodzi ludzie dobrej woli, którzy wreszcie położą kres temu „białemu terorowi.“ Jeśli się nie mylimy, za p. W. Cz. stoi pewna grupa ludzi dzielnych i szlachetnych, którzy nie powinni poskąpić starań, aby tę pożyteczną instytucyę wprowadzić na tory właściwe.

Nie wszystko wszakże źle się dzieje w państwie bawełny. Ogłoszone przed kilku dniami w pismach łódzkich sprawozdanie za rok 1901 z działalności komitetu Kolonij letnich dla dzieci chrześciańskich miasta Łodzi, wykazuje stopniowy wzrost zainteresowania się warstw posiadających tą sprawą społeczną. W r. 1901 zgłosiło się 1,590 dzieci: 994 chłopców i 596 dziewcząt. W porównaniu z r. 1900 liczba ta wzrosła o 261. Wysłano atoli na wieś tylko 542 dzieci, tj. 34%, reszta pozostała w Łodzi — dla braku środków. Oczywiście na trzykroćstotysięczną ludność Łodzi jest to prawdziwie kropla w morzu, ale — nie traćmy nadziei...

W ostatnich dniach marca odbyło się w Płocku doroczne, ogólne zgromadzenie Towarzystwa rolniczego, na którem roztrząsano kilka spraw pierwszorzędnej wagi. Przedewszystkiem wzięto pod uwagę projekt p. Woyczyńskiego utworzenia kas oszczędnościowych dla oficyalistów i robotników. Prezes, p. St. Chełchowski, dał wyjaśnienie, iż kasy podobnego rodzaju nie mają tak ważnego znaczenia, a projekt jest wogóle „wyidealizowany.“ Nie wiemy, na czem p. Chełchowski oparł to swoje orzeczenie, ale zapewnić go możemy, iż projekt nie jest wcale tak fantastyczny i dałby się urzeczywistnić, gdyby właściciele majątków chcieli się do owych kas przyłożyć; wszakże już we wszystkich uczciwszych, większych zakładach przemysłowych dzieje się tak, iż do kas emerytalnych pracownik wnosi tylko połowę wkładu, drugą zaś — pracodawca. Czy nie dałoby się czegoś podobnego zastosować i na roli?

Mówiono przytem o wielu innych rzeczach: o wpływaniu na lud ku zakładaniu ochron, o powstrzymywaniu wychodźtwa, o kursach rolniczych dla oficyalistów, zajmujących stanowiska członków Towarzystwa, o opracowaniu historyi większej własności w gubernii płockiej w XIX w. itp. Czyby to wszystko miało być zapisane do rubryki dobrych chęci? Przyszłość wykaże.

Dnia 23 marca odbyło się w Lublinie doroczne zebranie reprezentantów Towarzystwa pożyczkowo - oszczędnościowego dla chrześcian, założonego przed półtora rokiem. Zebranie zagaił prezes zarządu, dr. Biernacki temi słowy: „Cementem ludzi to idea przewodnia, przemawiająca do wszystkich dusz i serc naszych. Idee, ożywiające nas, to stworzenie solidarności chrześcian, to skupienie bez żydów, to samopomoc warstw panujących, to organizacya społeczna i ekonomiczna.“ Nie będziemy się spierali z dr. Biernackim, czy dążności wyrażone w formie szumnie - metaforycznej godzi się nazwać „ideami“ w znaczeniu platońskiem, jakkolwiek bądź filozoficznem; przejdziemy natomiast do owoców działalności Towarzystwa i tu zaraz przekonamy się, iż górnolotnym frazesom prezesa nie odpowiada nizki poziom operacyj pieniężnych, albowiem czysty zysk po dzień 1 stycznia r. 1902 wynosił 1525 rb. 90 kop.; widocznie ów idealny cement nie był dostatecznie wymieszany.

Lecz z życia lubelskiego mamy do zanotowania inny fakt bardziej pocieszający. Oto utworzone od roku Towarzystwo ubezpieczeniowe od gradobicia, p. n. „Ceres,“ oparte na wzajemności, rozwija się coraz pomyślniej. Rozpocząwszy ze skromnym kapitałem 50,000 rb., już w pierwszym roku istnienia zawarło 3,000 umów ubezpieczeniowych na sumę 14 milionów rubli. A dodać należy, że „Ceres“ powstało jako oręż w walce z Towarzystwami ubezpieczeniowemi, opartemi na spekulacyi i pobiło je odrazu na wszystkich posterunkach. Przykład to ze wszech miar godzien naśladowania.

I radomscy obywatele, jak donosi miejscowa *Gazeta Radomska* (nr. 22 i 25) wobec zbliżających się wyborów Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego zaczynają się krzątać i podnosić głowy. P. W. Kamocki wzywa stowarzyszonych, aby żądali nowej taryfy szacunkowej gruntów, łąk i pastwisk oraz podniesienia poziomu pożyczek; p. A. Karszo-Siedlecki przyznaje całą słuszność temu projektowi i ze swej strony dodaje inne: pożyczki melioracyjne, zmia-

---

wahał... Wtedy usłyszał szept cichy, lecz wyraźny, który czy brzmiał z zewnątrz... z daleka, czy w głębi niego się odzywał... „Zaiste, wiele jej będzie przebaczone, albowiem wiele kochała...“ Twarz starca rozjaśniła się ekstazą mistyczną. Słowa, które mu własna myśl podszepnęła, uważał za natchnienie z góry; i, wyciągnąwszy ręce nad pochyloną ku ziemi głową, jął uroczyściej, niż zwykle, wymawiać słowa sakramentalne: „Absolvo te in nomine Patris et Filii.“

. . . .

Razem, przeszedłszy przez kościół, opuścili palce w kropielnicę i paru kroplami zwilżyli czoła. Serafina na pożegnanie całując księdza w rękę, pierwszy raz dzisiaj w twarz mu spojrzała i miecz uczuła w sercu... To, co zrobiła, całą różnicę pomiędzy sobą dawniejszą, a dzisiejszą... jak w zwierciedle zobaczyła w tej wymownej twarzy. Była ona spokojna i dobra dla niej... ale ani śladu dawnej słodyczy i zawsze żywego zachwycenia! Mędrzec zrozumiał ją i rozgrzeszył, człowiek serca litował się nad nią, ale ksiądz idealista i mężczyzna ją, kobietę, która utraciła swą czystość niewieścią w objęciach nieprawej miłości — z piedestału swej duszy zdetronizował bezpowrotnie...

Kwiat duchowy, zespalający w sobie dwie najwyższe piękności natury kobiecej: niezmierną dobroć i bezwzględną czystość, utracił jedną z tych piękności... On temu nie był winien!.. Lilia nie była winna, że grad pociął na strzępy jej płatki aksamitne, że burza, złamawszy łodygę, w błoto zanurzyła kielich śnieżny... ale lilia utraciła swą piękność niepowrotnie i już nie mogła czarować!

XVII.

Był ranek. Serafina z pękiem kluczy na kolanach siedziała na dziedzińcu, na progu śpiżarni.

Nagle do jej uszu doleciał turkot bryczki, wesołe ujadanie psów, radosny pisk dzieci, wołania służby... Zerwała się.. klucze z brzękiem upadły na kamienie, i z twarzą radośnie ożywioną, rozłożywszy ręce, jak ptak leciała. Okrążyła dom i, wybiegając z za węgła, zobaczyła co się dzieje... Na wązkiej ścieżce pomiędzy gankiem a bryczką stał Stanisław w swym podróżnym, płóciennym kitlu, z kapturem na plecach, zmizerowany i opalony, z czupryną i zarostem ubielonymi od pyłu podróżnego, żartobliwy a rozrzewniony, całowany przez sługi po rękach, głaszczący główki dzieci, wydając donośne rozporządzenia ludziom, którzy znosili tłomoczki i okiem gospodarza ogarniając całe swe „obejście,“ jak gdyby liczył, czy przez ten czas nie ubył jaki gont w starych dachach.

Serafina nagle wstrzymała się. Widok męża przypomniał jej coś, co ją wstecz odrzuciło. Czemprędzej cofnęła się za węgieł domu i po wązkim chodniczku pomiędzy ścianą a szpalerem winnym zaczęła się leniwie przechadzać... w zamyśleniu. Ucho jej zazdrośnie łowiło każdy odgłos tej wesołej sceny powitania, i serce biło jak dzwon alarmowy. Jakżeby pragnęła pobiedz tam... zobaczyć go... przywitać...

Lecz zrobić tego nie śmie... nie może...

. . . .

Sucha to była jesień i przysypała prochem cały ogródek. Każdy liść pokryty grubym pokładem pyłu, który obfitemi tumanami padał od drogi, przybity był do ziemi, szary, brudny, jak ścierka. Nie ten to ogródek, co na wiosnę i ona nie ta sama!.. nie ta sama, szczęśliwa Serafina...

Tak medytując, łokciami oparta o sztachetki, Serafina porównywała los swój z losem roślin.

W głowie jej rozdarły się jakieś zasłony, coś złamało się, zwaliło i ujrzała — prawdę swego położenia wobec męża. Była tak nieświadomą uczuć ludzkich, że nie pojmowała całej wielkości swego przewinienia względem niego!... Aż dopiero teraz!.. Tak często się zdarza. Zaledwie ujrzymy osobę, nim jeszcze usłyszymy jej słowa, nim zobaczymy jak postąpi, już wiemy, że zachowa się nie tak, jakeśmy przewidywali...

na szacowania dochodowości z wód zarybionych, zmniejszenie wogóle formalistyki biurowej itd. Pod koniec artykułu p. Karszo-Siedleckiego odzywa się duch buntowniczy: „Do apelu więc — woła autor — panowie stowarzyszeni, zjedźcie się licznie, a po rozważnej dyskusyi postawimy wnioski, na które władze Tow. Kred. Ziem. odpowiedzą w formie ich obowiązującej, i z któremi będą się liczyć, jako z wyrazem rzeczywistej potrzeby, a nie bujnej fantazyi stowarzyszonych ich mandatów.“ Trochę niejasno, nieskładnie, ale dzielnie.

Tymczasem Radom nudzi się. Wprawdzie znów wskrzesza projekt, pogrzebany od r. 1823 założenia stałej sceny, ale to jeszcze pójdzie zapewne *ad calendas graecas*. Ostatnio zjechała tu trupa lubelska na trzy przedstawienia, z których ostatnie „Złote runo“ miało się odbyć w niedzielę palmową; lecz bogobojna opinia miejscowa nie dopuściła do takiej profanacyi. Ale że to wszystko potrzeb estetycznych Radomia zaspokoić nie może, więc *Gazeta Radomska* bawi swoich czytelników niezwykłą sensacyą. Oto np. opis ohydnej zbrodni w Klimkiewiczowie, umieszczony w nr. 25 tej gazety: „Zmarły izraelita spłoszył (!) z mieszkania złodzieja i wybiegłszy (!!) za nim usiłował go pochwycić. Zbrodniarz, odwróciwszy się w biegu, strzelił z rewolweru, raniąc go (?? bieg? rewolwer?) śmiertelnie kulą w brzuch.“

A co? takiej sensacyi gotówby *Gazecie Radomskiej* pozazdrościć nawet... *Kuryerek.*

Ketling.

CZYNY MILLERANDA.

Szybkim krokiem zbliżają się wybory do Izby poselskiej we Francyi. W ogólnym kierunku politycznym nie spowodują one żadnej prawdopodobnie zmiany. Ani „nacyonaliści“ z całą swą świtą zamaskowanych monarchistów, ani stronnictwo Meline'a, ta prawica republikańska, której głównym programem jest obecnie obrona klerykalizmu, nie odniosą zwycięstwa. Pomnożona przypuszczalnie zostanie większość lewicy reformatorsko-antyklerykalnej, której organem jest gabinet Waldecka-Rousseau. Ale nie ręczę za zwycięstwo jednego z członków tego gabinetu: ministra handlu i przemysłu Milleranda. Powołany on został na to stanowisko z łona stronnictwa socyalistycznego, sam uważa się dotychczas, i chciałby, aby go uważano, za wiernego jego zasadom, umiarkowanie i „pozytywnie“ pojętym; ale stronnictwo to, z wyjątkiem drobnej garści z Jaurèsem na czele, jest z niego wcale niezadowolone i wypiera się go całkowicie. Millerand, jako deputowany, musi się poddać wyborowi w kwietniu. Dotychczas był on wybierany w XII, przeważnie robotniczym okręgu Paryża bez kontr-kandydata, tak wielka była jego popularność; tymczasem stronnictwo (frakcya „guesdystów“) postawiło przeciw niemu fryzyera Renégo Chauvina — i wynik walki jest bardzo niepewny: łatwo zdarzyć się może to, co zdarzyło się w sąsiednim okręgu paryskim w r. 1893 — że kapelusznik Fabérot odebrał mandat prezesowi Izby Floquetowi... A utrata mandatu poselskiego, podług zwyczajów parlamentarnych, pociągnęłaby za sobą złożenie i teki ministeryalnej — co Millerandowi wcale się nie uśmiecha. Gabinet musiałby też wskutek tego uledz przebudowie, która pociągnęłaby za sobą zmianę układu i stosunku partyj w parlamencie. Dość, że Millerand usiłuje zawczasu wpłynąć na wyborców. Oficyalnie — nie wypada mu nic przedsięwziąć; lecz są sposoby nieoficyalne. Pan A. Lavy, również były członek stronnictwa, a dziś — szef kancelaryi ministra handlu, wydał książkę p. t. *L'oeuvre de Millerand—un ministre socialiste*, w której wylicza wszystkie reformy od znaczniejszych do najdrobniejszych, dokonane przez swego zwierzchnika i przyjaciela, przedrukowywa jego cyrkularze, a nawet mowy, usiłując przez zestawienie dowieść, że duch ich nie różni się od głośnej mowy programowej w Saint-Mandé w r. 1896, w której M. domagał się stopniowego przejścia na własność państwa demokratycznego—kopalni, dróg żelaznych, cukrowni itd.

Eksperyment Millerandowski jest tak niezwykły, że chyba da się z nim porównać tylko krótkotrwały udział Ludwika Blanca i Alberta w rządzie lutowym w. r. 1848 — a zarazem tak dla wszystkich, bez różnicy poglądów, ciekawy, że, korzystając ze sposobności, wyliczymy tu — w sposób zupełnie objektywny — czyny ministeryalne p. Aleksandra Milleranda — do których, swoją drogą, p. A. Lavy nie zalicza wystawienia przez jego małżonkę w dziale jubilerskim na ostatniej wystawie wszechświatowej takich klejnotów, którym równych ceną i blaskiem było niewiele...

Millerand od samego początku miał przeciw sobie w Izbie poselskiej, a szczególniej w senacie, tak silną opozycyę prawicy i centrum, że z najwyższą tylko ostrożnością mógł korzystać z prawa przedstawiania parlamentowi projektów prawodawczych. Użył przeto innego sposobu w celu zaprowadzenia reform: dekretów ministeryalnych; każdy minister może je wydawać w swym zakresie, lecz naturalnie pod warunkiem nienaruszania istniejących praw formalnych, czyli tego, co należy do kompetencyi parlamentu. Pierwszy dekret Milleranda (10 sierpnia 1899 r.) był po względem zasadniczym bardzo ważny. Szło o warunki pracy u przedsiebiorców, podejmujących się robót dla gmin (względnie miast), departamentów i państwa. Niektóre zarządy komunalne, w pierwszym rzędzie Paryż, ustanawiały w kontraktach z takimi przedsiebiorcami maximalny dzień roboczy, minimum płacy podług kategoryi itp. Przedsiebiorcy często nie dotrzymywali tych punktów umowy, wskutek czego sprawa szła przed najwyższy trybunał administracyjny (radę stanu), który w imię starych zasad nieinterwencyi władz publicznych w stosunek najemny, uznawał za niebyłe klauzule kontraktowe. Z tego powodu wybuchł nawet w r. 1898, za ministeryum Brissona, wielki strejk w Paryżu. Millerand dekretem swym przyznał gminom i departamentom prawo określania warunków pracy w kontraktach, a dla przykładu postanowił, że przedsiebiorcy, podejmujący się robót *rządowych, muszą* przyjąć zobowiązania, ustanawiające maximum czasu pracy, płacę nie mniejszą niż przeciętna w danej miejscowości, oraz taryfę związków zawodowych, odpoczynek niedzielny, zakaz pracy akordowej i odstępowania robót przedsiebiorcom z drugiej ręki, którzy zwykle wyzyskują bardziej robotników.

W zakładach przemysłowych bezpośrednio od niego zależnych, jako to w fabrykach marek pocztowych, w magazynach i zakładach reparacyjnych dla zarządu poczt, telegrafów i telefonów itp., M. wprowadził dzień 8-godzinny, bez zmniejszenia zarobków w Paryżu, najwyżej 11-godzinny (z włączeniem czasu na drogę od mieszkania i z powrotem) na prowincyi, rozszerzył odpoczynek niedzielny i oznaczył *minimum* płacy dziennej na 5 fr.

Nieobecnego wyobraźnia nasza tak przekształci, że zrobi z niego swoje własne dzieło. Lecz mara ginie, gdy przed oczyma staje jej wzór żywy.

I Serafina, zobaczywszy męża, usłyszawszy głos jego, wiedziała doskonale, że wobec tego co się stało, on się inaczej zachowa, niż przewidywała, że fakt ten musi oddziałać dotkliwie na jego uczucia, a udział jego w tej sprawie wypadnie jakoś inaczej... całkiem inaczej...

A jednocześnie z tą pewnością znajduje w swej głowie już gotowe postanowienie, które tam jakby czekało tylko znaku, aby się uświadomić: „wyznać wszystko.“ Cokolwiek ma ją potem spotkać, natychmiast powie mężowi, co zrobiła. On teraz ma nad nią prawo sądu — niechże więc zażąda od niej zadośćuczynienia, o jakiem mu się tylko zamarzy — ona z pokorą przyjmie wszelką pokutę i karę, byle tylko miała nadzieję, że kiedyś jego żal minie i ona uzyska przebaczenie.

Poważny umysł Serafiny pojął odrazu ten obowiązek człowieka, który jest najwyższym wyrazem jego godności, aby wziąć na siebie całą odpowiedzialność za swój czyn — stawić czoło wszystkim jego konsekwencyom.

. . . .

— Jak się masz sroko — zawołał Stanisław pełnym radości głosem, dojrzawszy żonę po za gromadką domowników, wychylającą się z mroków sieni. Lecz w tejże chwili uderzyła go zmiana w jej twarzy pobladłej, wynędzniałej i tęsknej. Wyglądała jak dziecko głodzone i bite w nieobecności matki. Ujął ją delikatnie za podbródek i do światła podniósł jej twarzyczkę:

— Tyś chora — zawołał z niepokojem w głosie, w którym czuć było ściśnienie się serca. I brał w ręce jej małą główkę, dotykał się wierzchem ręki jej policzków...

— Nie jestem chora, nic mi nie jest — mówiła, przechodząc z nim przez sień ciemną — tylko mam na sercu ciężką tajemnicę, którą chciałabym ci powiedzieć jak najprędzej.—O! nie każ mi czekać — zawołała — zmiłuj się nademną... niech ja ci to zaraz powiem.

. . . .

Pociągnęła go za sobą do alkierza ciemnego, który był składem aptecznym, gdzie się kryły w słojach i butlach różne, nieznoszące światła preparaty, a na podłodze, spiętrzone jedne na drugich, stały paki, już próżne i jeszcze nie odbite. Dał się jej prowadzić w przystępie dobrego humoru, ulegając kaprysowi tego „bachora,“ ale uśmiechał się pod wąsem z tej „ciężkiej tajemnicy.“

„Niezawodnie—myślał — ma mi objawić o śmierci Filusia!“

Jak ją bolał ten ton lekki, wesoły i ufny! Miała wiele trudności, zanim go nastroiła seryo...

Gdy w ciemnym alkierzyku siadł na pace i oczy w nią wlepił wyczekująco, ona rzuciła się przed nim na kolana, a załamując nad głową ręce, zawołała z rozpaczą w głosie:

— Czy ty wiesz, Stasiu, co ja zrobiłam!... co ja zrobiłam!... co ja zrobiłam!... Zakołysała się od żalu. A potem, zwiesiwszy głowę, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami—wyznała...

Skończywszy swe krótkie opowiadanie, bojaźliwie spojrzała na męża, szukając na jego twarzy śladu jakiegokolwiek uczucia... Ale twarz jego zachowywała doskonałą, swobodną obojętność; zdawało się, że albo nic nie rozumie, co się stało, albo go to nic nie obchodzi.

A to tymczasem myśl jego nie przebiegła jeszcze wobec faktu dziwnego i nieoczekiwanego wszystkich skojarzeń — i umysł nie zaczął reagować.

Dopiero po pewnym czasie milczenia, odsunął jej głowę od swych kolan... Wykonał kilka nerwowych, niespokojnych poruszeń — i widać było z twarzy, że już skombinował... i zaczynał cierpieć.

(C. d. n.)

Listonoszom podniósł zarobki, ułatwił awansowanie, ulżył w zakresie postępowania dyscyplinarnego, powiększył ilość dni wolnych; kazał w niedzielę zamykać wcześniej biura pocztowe.

Znaczenie zasadnicze ma także reforma t. zw. wyższej rady pracy (*Conseil supérieur du travail*). Instytucya ta, utworzona na wzór rady handlu i przemysłu, czyli instytucyi, mającej na celu popieranie interesu przedsiebiorców, istniała przy ministeryum handlu już od r. 1891; zadaniem jej jest badanie spraw, dotyczących stosunków między kapitałem i pracą wogóle; i przygotowywanie projektów prawodawczych w tym zakresie. Poprzednio jednak rada ta składała się wyłącznie z członków z urzędu, albo mianowanych przez ministra, lub wybieranych przez Izbę poselską i senat. Millerand zreformował ją w ten sposób, że większość członków jest wybierana w równych ilościach przez stowarzyszenia przedsiebiorców i związki zawodowe robotników; liczbę zaś mianowanych przez ministra zredukowano do trzech, Millerand na to stanowisko powołał Jaurèsa, działaczkę zawodową pannę Bonnevial i prof. R. Jay'a, wybitnego teoretyka praw organizacyj zawodowych Tak przekształcona rada opracowała już projekt reformy sądów przemysłowych (wybieralnych przez przemysłowców i robotników, t. zw. *conseils de prud' hommes*), w tym duchu, aby prawo wyborcze przysługiwało wszystkim robotnikom już od 21 r. życia, a wybieralność — od 30-go, i nawet tym, co nie pracują już faktycznie w danym zawodzie, byle nie dawniej, niż od 10 lat — co umożliwia wybieranie sekretarzy związków i innych wyspecylizowanych działaczy. Instytucya sądów przemysłowych została rozszerzona na handel, nawet personel teatrów może się do nich uciekać i brać udział w wyborze sędziów. Izba poselska zatwierdziła już tę reformę, lecz senat — jeszcze nie; to też nie weszła ona dotąd w życie, i dymisya Millleranda mogłaby pociągnąć za sobą jej—utopienie.

Millerand ustanowił też dekretem t. zw. rady pracy (*conseils du travail*) — na wzór belgijskich, lecz ze znacznie większemi atrybucyami. Istnieć one mają we wszystkich głównych ośrodkach przemysłowych; dotychczas weszły w życie w Paryżu. Wybierają je w równych częściach przedsiebiorcy i robotnicy — lecz tylko zorganizowani w stowarzyszenia lub związki; jest to więc dla jednych i drugich zachęta do łączenia się. Instytucya ta bardzo się niepodobała przedsiebiorcom; ich przedstawiciele w senacie (głównie sen. Bérenger) dowodzą, że M. nie miał prawa ustanawiać jej dekretem; część przedsiebiorców w Paryżu wstrzymała się nawet demonstracyjnie od udziału w wyborach do tych rad. Zadaniem rad pracy jest udzielanie informacyj rządowi, badanie miejscowych warunków i ustanawianie—teoretyczne—maximum płacy, które mogą mieć znaczenie moralne – normy, przykładu. Prócz tego te rady pracy miały mieć jeszcze inną, ważniejszą funkcyę. Millerand wspólnie z Waldeckiem-Rousseau opracował projekt uregulowania prawnego strejków w ten sposób, aby o wybuchu bezrobocia decydowała w głosowaniu tajnem większość robotników, zatrudnionych w danym warsztacie, a przedsiebiorca w razie uchwały obowiązany był wstrzymać produkcyę, zaś najbliższa „rada pracy" występować miała między obu stronami jako pośredniczka, której wyrok rozjemczy musiał być obustronnie najmniej przez pół roku szanowany. Projekt ten jednakże spotkał się z tak silną opozycyą, i to zarówno przemysłowców, jak związków robotniczych zawodowych (te ostatnie obawiały się osłabienia wskutek przeniesienia prawa decyzyi na wszystkich, nietylko zorganizowanych robotników), że M. nie nalegał o przyspieszenie dyskusyi w parlamencie i projekt — w każdym razie niezmiernie ciekawy—dotychczas spoczywa pogrzebany w archiwach komisyi Izby poselskiej.

Na polu inspekcyi fabrycznej sensacyę wywołał cyrkularz ministra handlu, nakazujący inspektorom utrzymywać ciągłe stosunki ze związkami zawodowymi, przyjmować za ich pośrednictwem skargi bezimienne od robotników, obawiających się zanosić je osobiście, zawiadamiać związki o rezultatach swych rewizyj i dochodzeń. Do komisyi centralnej, mającej nadzór nad inspekcyą fabryczną, powołano kilku robotników; dopuszczono ich także do egzaminów, otwierających dostęp do urzędu inspektora. Wogóle, za rządów M. inspekcya stała się o wiele czynniejszą — inspektorowie np. wykryli okropny wyzysk dzieci w t. zw. zakładach dobroczynnych, przytułkach dla sierot itd. Osobnym cyrkularzem publicznie zganił policyę za nieprzestrzeganie na ulicach przepisów, zakazujących dzieciom i nieletnim noszenia i popychania ciężarów, przechodzących ich siły. Utworzył komisyę hygieny zawodowej, która wydała memoryał o truciznach przemysłowych; zakazał używania bieli ołowiawianej (blejwasu) przynajmniej przy robotach dla ministeryów i urzędów — dla przykładu...

Wreszcie w specyalnym cyrkularzu wyjaśnił, że na mocy ustawy o odszkodowaniu za nieszczęśliwe wypadki przy pracy, uchwalonej w r. 1898 za poprzedniego ministra (Delombre'a), fabrykanci nie mają prawa zmniejszać zarobków; prawo to w r. 1901 zostało przez Izbę poselską na wniosek Millleranda udoskonalone w niektórych drobnych szczegółach, lecz senat nie zatwierdził jeszcze tej reformy. Senat przeszkodził również, jak czytelnicy *Prawdy* wiedzą z niedawnej korespondecyi z Paryża — reformie, a raczej zniesieniu prywatnych, osławionych biur pośrednictwa w najmie. Projekt prawa o emerytu- rach robotniczych, wzorowany na niemieckim prawie, lecz znacznie mniej śmiały, dotychczas nawet przez Izbę poselską nie został uchwalony; w dwukrotnej dyskusyi Izba nie mogła się zgodzić na jego zasady i odesłała go do komisyi w celu przerobienia z gruntu po raz trzeci; niema więc mowy o uchwaleniu tego prawa przed wyborami.

Na polu prawodawstwa, jedynie nadającem się do wprowadzenia głębszych reform, bo kompetencya dekretów w państwie parlamentarnem jest ograniczona, Millerand zdziałał istotnie znacznie mniej. Wypływało to z natury rzeczy, na tem polu bowiem zależny był nietylko od swoich kolegów z ministeryum, lecz jeszcze od niechętnej mu w gruncie rzeczy większości obu Izb parlamentu. W tym zakresie dokonano za ego rządów jednej tylko ważnej reformy: oto zmienione zostało prawo z r. 1892, dotyczące długości dnia roboczego. Prawo z r. 1892 miało tylko kobiety i dzieci na względzie, ograniczało ich dzień roboczy do 11, względnie 10 godzin. Ale ponieważ te kategorye robotników pracowały w warsztatach razem z mężczyznami dorosłymi, których dzień roboczy nie był ograniczony, a fabrykanci za pomocą systemu zmian, klasycznego pod tym względem, znanego i nadużywanego już w Anglii w pierwszej połowie XIX w., umieli wprowadzić takie zamieszanie, że wszelka kontrola stawała się dla inspektorów niemożliwą, więc faktycznie prawo z r. 1892 nie było wcale wykonywane. Millerand przeprowadził w parlamencie w r. 1900 ważną zasadę jednostajności dnia pracy dla wszystkich kategoryj robotników, zatrudnionych w danym zakładzie, i zniesienia zmian ruchomych, co umożliwia wreszcie kontrolę. W ten sposób po raz pierwszy w prawodawstwie francuskiem *faktycznie* ograniczony został dzień roboczy mężczyzn dorosłych. Prawem z 30 marca 1900 r. postanowiono, aby dzień roboczy w zakładach, gdzie mężczyźni pracują razem z kobietami lub dziećmi—a takich zakładów jest znacznie więcej — wynosił 11 godzin do r. 1902, w r. b. zredukowany był do 10½, a w 1904 — do 10 tylko. Prawo to stanowi znaczny postęp i daje, zacofanej dotąd pod tym względem, Francyi odrazu pierwszeństwo przed państwami kontynentalnemi. Tymczasem znaczna część dawnego stronnictwa Milleranda gwałtownie napadła na niego za to, że to prawo podniosło *przejściowo* nominalny dzień roboczy dzieci o jedną, względnie o pół godziny. Faktycznie pracowały one i przedtem nie mniej, niż 11 godzin, lecz było to wbrew prawu z r. 1892, i — mówiono — gdyby M. postawił się był energicznie, to jego inspektorowie mogliby zmusić przedsiebiorców do szanowania prawa, a co za tem idzie — parlament do zredukowania odrazu dnia roboczego do 10 godzin dla wszystkich kategoryj. Sądzę jednak, że nie jest to słusznem. Millerand mógł chyba tylko dla zamanifestowania zasady podać się do dymisyi, lecz uzyskać więcej od Izby, a szczególnie od senatu—nie było podobna.

Tyle zdziałał „niezwykły" minister w ciągu prawie trzyletniego urzędowania. Znany uczony niemiecki, dr. Adolf Braun, słusznie twierdzi o nim, że nie wprowadził żadnych nowych zasad, że reformy jego istniały już—często nawet w formie dalej idącej — w państwach amerykańskich i europejskich. Tak np. 8-godzinny dzień obowiązuje przy robotach rządowych w wielu stanach Unii północno-amerykańskiej; normalne warunki pracy przestrzegane są przy tych robotach w Anglii, Holandyi, Belgii, St. Zjednoczonych, Australii. W Wirtembergii inspektorowie fabryczni odbywają coroczną konferencyę z przedstawicielami związków zawodowych — itd. To prawda. Lecz Francya, ten przytułek starej szkoły ekonomicznej, zasad manchesteryzmu, nieinterwencyi panstwowej, była pod tymi względami ogromnie zacofana: M. zrównał ją prawie, a w niektórych punktach — postawił wyżej od krajów sąsiednich.

Przytem, naturalnie, trzeba jeszcze pamiętać o innych stronach jego działalności. Nie mówimy już nawet o jego udziale w polityce ogólnej ministeryum, za którą na mocy zasady solidarności ministrów jest on także odpowiedzialny. Ale nawet w swoim specyalnym zakresie prowadzi on przecie nietylko politykę robotniczą, ale i politykę celną, politykę popierania przemysłu i handlu itd. — a w tych sprawach nie był on wcale ministrem „niezwykłym," nie odróżnił się niczem od swych „zwykłych" poprzedników.

K. Radosławski.

KATOLICYZM REFORMOWANY.

Co kilka lat z pewną, nieubłaganą prawidłowością, pojawiają się w sferach katolickich Niemiec młodzi apostołowie, głoszący ewangelię pojednania katolicyzmu z kulturą, zwłaszcza z nauką współczesną. Miast iść za przykładem Brunetière'a, który, sprawdziwszy księgi buchalteryjne nauki współczesnej, obwieścił jej bankructwo, a w zgromadzeniu kardynałów ogłosił Bossueta największym umysłem wszystkich czasów, co mu nie przeszkodziło na gruncie szwajcarskim uczynić to samo przed kilku miesiącami z... kacerzem Kalwinem, otóż, zamiast pójść za przykładem tego zacnego męża, młodzi prorocy uważają za hańbę i klęskę dla ultramontanizmu, że nie potrafi dotrzymywać kroku wiedzy wyklętej. Podczas gdy kultura nasza mknie na przełaj, a umysł ludzki, uzbrojony w sceptycyzm, pozbywa się wszelkich mamideł i miraży i wzno-

si w podniebną sferę zagadnień wielkich, niebotycznych, zawrotnych a rozkosznych, o których nie marzyli bogowie, to zwolennicy scholastyki i neotomizmu muszą łamać sobie głowę nad takiemi głębokiemi kwestyami, jak np.: „czy drzwi Rzymian zamykały się z zewnątrz, czy z wewnątrz,“ lub „pod jakiem nazwiskiem, Achilles, przebrany za dziewczynę, ukrywał się w jednem z miast małoazyatyckich“ itp. Wskutek tego w „kraju myślicieli“ i najwyższego rozkwitu naukowego muszą z konieczności rzeczy naradzać się marzyciele, którzy chcą mur rzymski głową przebić, a koniec końców giną na stosie anatemy.

Prof. Hermes z Bonny pierwszy wzywał Rzym do podania ręki nauce, wychodząc z założenia, że „wiedza nie jest w stanie zachwiać powagi kościoła.“ Przeciwnie — mówił — filozofia wolnomyślna, zetknąwszy się z katolicyzmem, upadnie przed nim na kolana i zawoła: „peccavi!“ Hermes znalazł sporo zwolenników nad Renem, a w Badenii baron Wessenberg zaczął szerzyć jego poglądy katolicyzmu liberalnego. Zdawało się, że w świat katolicki wstąpiło nowe życie, rozbudziły się nowe nadzieje. Wyciągano dłonie, aby uściskać naukę z miłością, z jaką się kocha tylko prawdę i wielkie idee; aż tu *Roma locuta est* — obydwaj reformatorzy zostali skazani — co prawda jednocześnie z Francuzem, Ludwikiem Bautainem, który utrzymywał, w przeciwieństwie do nich, że kościół może się obejść bez pomocy rozumu. Przypomniano mu tedy, iż *„philosophia ancilla theologiae,“* a rzeczą służącej jest pełnić swe obowiązki. Tymczasem prawowierny Francuz wręczył jej książeczkę służbową i dał odprawionej jeszcze krzyżyk na drogę. Tego było trochę za wiele. Przywołano zatem służącą z powrotem i kazano jej nadal szorować garnki i myć statki w kuchni ultramontańskiej. W każdym razie trzeba przyznać, że Rzym z trzema wyklętymi teologami obszedł się bardzo tolerancyjnie. Nie kazano im iść do Kanossy, ani stać przez trzy dni we włosienicy pod gołem niebem, jak to uczyniono z Henrykiem IV.

Upłynęło lat kilka, na widownię wystąpił słynny teolog katolicki, prof. Schell z Wurzburga. Działo się to przed trzema laty, kiedy szwindel Leona Taxila we Francyi wyszedł na jaw. Schell ogłosił wtedy wielką pracę o stosunku katolicyzmu do zasady postępu. Słuchacze, porwani poglądami profesora, urządzili mu owacye. Zewsząd napływały tłumy, aby usłyszeć „Lutra katolickiego.“ Lada dzień — spodziewano się — padnie owo wielkie słowo, które da sygnał do spalenia mostów, łączących katolicyzm z ultramontanizmem. Wiedziano bowiem, iż Schell otrzymał już jakiś list rekomendowany z urzędu biskupiego. I oto owa pamiętna chwila nastąpiła. Schell wobec tysięcy słuchaczów, czekających z zapartym oddechem wyzwania, odwołał wszystko co do joty. „Nie jam pisał moje dzieła, lecz szatan“— zakończyła swą mowę pokutnicza owieczka, która paradowała w lwiej skórze. Niestety, nic w naturze nie ginie, a tembardziej zło.

Poglądy Schella zagnieździły się w mózgownicy estetyka katolickiego, który w masce pseudonimowej jako Veremundus ogłosił szereg szkiców literackich, których treść można oddać w tak idyllicznie brzmiących słowach: „Dlaczego niema u nas w poezyi słowików?“ Dlaczego—zapytywał — miliony nabożnych katolików pomimo ogromu prasy i literatury ultramontańskiej — nie wydały dotychczas ani jednego talentu? Szkice Veremundusa były pisane z takim zapałem, że ci, którzy je czytali, zapewniają, iż mieli podczas czytania halucynacye. Zdawało im się, że człowiek, któremu powietrza zabrakło, chwyta się za piersi, a przytem potrząsa kajdanami. „Nie mamy nic, absolutnie nic“ — wołał autor. Artykuły „estetyka nowopogańskiego sprawiły potężne wrażenie na prasie ultramontańskiej. Ale w chwili, kiedy zaczęto naradzać się, jak złe naprawić, zabrał głos organ Jezuitów — *Die Wahrheit* (Prawda). „Czy beletrystyka katolicka — pisali oo. Jezuici — warta coś lub nie, ma prawo rozstrzygać tylko najwyższa instytucya katolicka: kościół!“ Gdy Veremundus przeczytał te słowa, schował się czemprędzej pod stół, dygocząc całem ciałem, i wyszedł stamtąd dopiero wtedy, gdy go komitet redakcyjny uspokoił, że dom zaopatrzony jest w piorunochron. Odtąd wszystko poszło zwykłym trybem. Sędziwy prof. Schell utył, a Veremundus w każdym artykule swoim zachwyca się bajecznem bogactwem beletrystyki katolickiej, którą można przyrównać do gaju czarodziejskiego: co drzewo, to stado słowików! Prasa ultramontańska w Niemczech również się poprawiła i stała bardziej papieską, niż sam papież. Jest to fonograf najszczerszego klerykalizmu. Znajdujemy tu artykuły na temat bulli Bonifacyusza VIII, orzekającej między innemi: „Oświadczamy, wypowiadamy, decydujemy i ogłaszamy, że dla każdej ludzkiej istoty jest koniecznością zbawienną podlegać władzy papieża.“ Albo też rozwodzono się nad mową jezuity austryackiego, dr. Jehly'ego, który między innemi oświadczył: „Papież jest najwyższym prawodawcą ziemi. On jest fundamentem i podstawą moralnego porządku świata.“ Przytaczano z zachwytem z *Osservatore Romano* słowa następujące: „Papież jest kluczem ustroju społecznego i zbawcą narodów,“ a z *Civiltà cattolica*: „Gdy papież myśli, to jest to Bóg, który w jego osobie myśli.“

Tak trwały rzeczy aż do zjawienia się nowego reformatora w osobie księdza katolickiego, dr. Józefa Müllera. Podniósł on sztandar wytrącony z rąk Hermesowi i Schellowi i założył dla szerzenia idei katolicyzmu liberalnego pismo p. t. *Renesans*. Już sam tytuł napsuł wiele krwi, przypominając owe czasy, kiedy w Watykanie rozpanoszył się duch humanizmu, kiedy kardynałowie i prałaci wyznawali poglądy starożytno-pogańskie, kiedy utworzyli nawet dwie szkoły: „Akademię“ i „Peripatetyków,“ przysięgających na Platona lub Arystotelesa. Nie przypadały do smaku ultramontanom komplimenty, którymi obsypywał Müller pamięć Lutra, zwąc go sprawcą „czynu zbawiennego.“ Müller pierwszy na swym programie wypisał słowa „Katolicyzm reformowany.“ Za rzecz główną uważał jednak walkę przeciwko jezuitom, którą prowadził w swym organie i oddzielnych pracach. „Jest to faktem zastraszającym — pisał on w przeszłym roku — jaki zastój umysłowy zapanowywa tam, gdzie stąpiła ich noga. Ich polemika jest sofistyką i wstrętną rabulistyką adwokacką; od samego początku byli oni wrogo usposobieni dla postępu nauki i zwalczali wielkie duchy i geniuszów twórczych... W sztuce i poezyi okazali się, z nielicznymi wyjątkami, zupełnie bezpłodnymi. Ich wady zasadnicze: brak samodzielności, metody ścisłej, wiedzy wszechstronnej, oraz forma pospolita dadzą się wszędzie u nich odczuwać. Wyniosłość bezgraniczna obok rozdętej nicości jest cechą charakterystyczną tego zakonu, nadto drażliwość na najmniejszą naganę, wskutek czego grożą wytępieniem każdemu przeciwnikowi. Nawet na polu nauki moralności zakon nie jest oryginalnym: z pyłu bibliotecznego wygrzebał on zasadę wyjątkową i ciemną, przekształcił ją i rozwinął, zrobił godłem swej szkoły, a potem odważył się wznieść do godności nauki urzędowej kościoła, której zwalczanie równa się kacerstwu.“ Józef Müller usiłował również wykazać, iż katolicka teologia moralna zeszła na manowce z winy jezuitów. „Błędem jest nie do przebaczenia, i szkodą dla kościoła katolickiego, że wskrzeszono zakon jezuicki... Zwycięztwo zakonu nad kościołem jest wyraźne.“ Chłostał również sposób użytkowania z religii katolickiej dla celów politycznych. Wszelkie stronnictwo o tendencyach wyznaniowych jest według Müllera niedorzecznością.

Popularność Müllera rosła z dniem każdym, a powodzenie zabarwiało styl jego żółcią i zachęcało do rozszerzenia pola literackiego. Jak z rogu obfitości sypały się prace filozoficzne, pedagogiczne i teologiczne. Powstała gmina zwolenników müllerowskich, a reformator robił przygotowania do wielkiego najazdu polemicznego na Rzym. Wtem dowiedział się, że go już nikt nie czytuje: protestanci dlatego, że to są dla nich rzeczy elementarne, katolicy zaś — bo kongregacya indeksowa zaszczyciła jego dzieła wzmianką i surowym zakazem. Od tego czasu Müller przestał istnieć dla katolików.

Na polu bitwy, zasłanem trupami—umarłymi i żywymi — zapanowała cisza cmentarna, a w obozie katolickim idealna harmonia sfer. Dopiero młody historyk Spahn, o którym *Prawda* pisała szczegółowiej z powodu odezwy Mommsena, spłoszył śpiączkę prawowierną. Od ultramontanów nauczył się on nosić płaszcz na dwu ramionach, a od protestantów i swego nauczyciela katolickiego, historyka K. Krausa dowiedział się, że prawda dusi się w atmosferze dogmatyzmu, obskurantyzmu i fanatyzmu. Ksawery Kraus sam w życiu publicznem nie występował nigdy przeciw Rzymowi, za to każda jego praca była rękawicą mu rzuconą. Tak np. przed śmiercią ogłosił on dzieło źródłowe o Cavourze, gdzie scharakteryzował byłe państwo kościelne jako wcielenie zgnilizny społecznej i anarchii, jako budowę, która bez wszelkiego naporu z zewnątrz musiałaby zawalić się z łoskotem. Ten sam Kraus, pomimo iż umarł (przed kilku tygodniami), trzymając w ręku Tomasza à Kempis, przeklął w swym testamencie Rzym i ultramontanizm. Spahn nietylko zamieścił w swem wydawnictwie pracę Ksaw. Krausa o Cavourze, ale nadto wystąpił z programem, który musiałby drogo przypłacić, gdyby nie miał papy wysoce poważanego zarówno w Rzymie, jak w Berlinie. Ojciec jego jest niemal generalissimusem obozu centrowego i oto syn wyrodny, korzystając z tego, żąda od katolicyzmu spełnienia programu wytkniętego niegdyś przez hr. Gobineau, a obecnie opracowanego przez heretyka austryackiego, Ehrhardta, profesora wiedeńskiego historyi kościelnej. Religie — według tego programu — same przez się nie stanowią ani tworzą kultury. W najlepszym razie mogą zawrzeć z nią przymierze. Obecna kultura zawarła sojusz z protestantyzmem. Nie miałaby nic przeciwko trójprzymierzu, w którego skład wchodziłby katolicyzm, gdyby ten uznał prawa jej, gdyby się zrzekł aspiracyj politycznych i poprzestał wyłącznie na walce wyznaniowej.

W przeciwnym razie historya przejdzie nad nim do porządku dziennego.

R.

Z POWODU KONGRESU SYONISTÓW.

(Dokończenie).

Z drugiej strony, jedną z dominujących cech syonizmu, jak i wielu innych ruchów irredentystycznych za naszych już dni, jest *wielki sceptycyzm względem ideałów ogólno-ludzkich.* Pamiętajmy, że nie zawsze tak bywało. Za czasów „wiosny ludów“ — w której i Żydzi brali udział — narodowości widziały swe dobro w ideałach ogólno-ludzkich. Dziś Żydzi, narodowcy — jak tylu innych, niestety — mówią, że ideały te zawiodły ich, że poprostu były—oszustwem; że pozo-

staje im liczyć wyłącznie na samych siebie. Wytwarza się też — zresztą na sprzyjającym gruncie dawniejszego mesyanizmu, który też nie jest jedynym w historyi—cała doktryna: z jednej strony, wyjątkowości położenia i charakteru narodowego, z drugiej— samoistności bytu narodowego, jako celu dla samego siebie. Znalazła ona wyraz na ostatnim kongresie między innemi w mowie Nordaua. Głosił on, że naród żydowski jest *absolutnie* najbiedniejszym na całym świecie, biedniejszym od ostatnich dzikusów, bo „nic nie ma, coby mógł nazwać swojem"; twierdził np., że student-nędzarz jest zjawiskiem wyłącznie żydowskiem; a jednocześnie szydził z tych „przyjaciół" narodu żydowskiego, którzy bronią go, dowodząc jego pożyteczności, usług przezeń oddanych itd. „O jakiż to naród świata ośmielono się kiedykolwiek pytać: do *czego służy?* Kto kiedy słyszał, że naród jakiś ma do czegoś służyć? Naród jest sam dla siebie celem. Żyje dla siebie, nie dla innych; prawa bytu nie jest obowiązany okupywać usługami, oddawanemi innym!" Naród zaś żydowski liczy się na przeszło 7 milionów. Stąd, naturalnie, namiętne potępienie asymilacyi, utraty narodowości żydowskiej, jako zdrady poprostu. Stąd ta zmiana, którą można wyrazić dosadnie za pomocą zestawienia dwóch wierszy. Przed laty Gomulicki deklamował *w imieniu* Żyda:

> *Com ja winien*, że mnie słońce Wschodu
> Niezatartem naznaczyło piętnem?

Dziś Żydzi *sami* mówią do swej młodzieży słowami J. Loewenberga, autora „Aus jüdischer Seele":

> Sei fest, *sei stolz*, und eins noch lass' dich lehren:
> *Dich wehren*, Jung', dich wehren! *)

Ale stąd także, z tego źródła sceptycyzmu względem ideałów ogólno-ludzkich, wypływa i łacne posłuszeństwo żydowskiego narodowego, *wewnętrznie* radykalnego ruchu, dla górnej dyplomacyi p. Herzla, stąd jednomyślne — dotychczas przynajmniej — oklaskiwanie depesz do i od sułtana, a nawet — wyrzucanie gwałtem za drzwi oponentów, mniej zachwyconych sułtanem, jak to się zdarzyło niedawno na pewnem zebraniu w Paryżu, pod przewodnictwem Nordaua...

Nie waham się twierdzić, że cała ta wyłączność narodowa, że cała ta obojętność na hasła ogólno-ludzkie i rozgoryczenie na inne narody, są u Żydów zupełnie zrozumiałe psychologicznie. Gdyby „wiosna," zaczęta pod znakiem tych haseł ogólnych, zamieniła się była na owocne lato i doprowadziła do istotnego, całkowitego równouprawnienia Żydów, pewno nastąpiłaby już do tego czasu, a przynajmniej w niedalekiej przyszłości, zupełna ich wszędzie asymilacya. Ale dziś — za późno. Dziś — czyż można się dziwić, że Alfred Dreyfus, ten fanatyczny przedtem oficer-patryota francuski, nawraca się na syonizm, jak świadczy jego artykuł w *New-York Journal*? Czyż można się dziwić, gdy nawet w Anglii, tym odwiecznym kraju równouprawnienia, postępu i przytułku, wszczyna się brutalna naganka przeciw Żydom, że najbardziej nawet dotąd zasymilowani zewnętrznie i duchowo z narodami Europy, wstrząsają się, wątpią — i tęsknić zaczynają do własnego Syonu? Jest to — powtarzam — zupełnie zrozumiałe; co jednak wcale nie odbiera temu Syonowi-Palestynie charakteru zupełnej iluzyi. Przypuśćmy nawet bowiem, że uda się tak olbrzymi exodus i że kraik ten zdolny jest, dzięki pewnej ilości bogactw naturalnych, wyżywić liczny naród, że leży w korzystnych warunkach handlowych, że wreszcie, gdyby nawet był pustynią, to—jak mówi Zangwill — wszakże mormoni pracą wytrwałą zrobili z pustyni Słonych Jezior okolicę kwitnącą. P. Ad. Neufeld dla udowodnienia widoków rozwoju ekonomicznego, jakie ma Palestyna, przytacza dzieło Francuzów Verney'a i Dambmanna, ale sam przecie mówi, że dzieło to napisane zostało w duchu odwiecznych praw, jakie rości sobie Francya do Syryi i krajów sąsiednich. Sam słyszałem w paryskiej szkole nauk politycznych słowa Anatola Leroy-Beaulieu, wypowiedziane właśnie z powodu syonizmu: gdyby już dzielono Turcyę, i Palestyna miała się dostać komuś, to Francya nie pozwoli jej wziąć nikomu, prócz sobie samej. Ale pomijamy możliwość podziału Turcyi, bo wszakże i syoniści liczą na władzę i łaskę sułtana. Czyż można przypuszczać, aby mocarstwa europejskie pozwoliły kiedykolwiek sułtanowi na dotrzymanie dawanych Herzlowi obietnic — jeśli nawet istotnie je dawał? Oprócz handlowych, wchodzą tu w grę jeszcze interesy religijne. Dziś wprawdzie niejedna tępa głowa antysemicka powtarza bezmyślnie: „Hajda do Palestyny, Żydy!" — ale widzielibyśmy dopiero wybuch fanatyzmu powszechnego, słyszelibyśmy wrzask nowej krucyaty, gdyby Jerozolima kiedykolwiek istotnie miała się dostać w ręce „tych, którzy Chrystusa ukrzyżowali"!

Żydzi, którzy wierzą naprawdę obietnicom sułtana, czy też Herzla, ulegają szkodliwemu złudzeniu. Szkodliwemu dlatego, że mogą zapomnieć o zadaniach, jakie wypływają z faktu odwiecznego współżycia z innymi narodami i z konieczności dalszego z nimi obcowania. Nie stosuję jednak tego zarzutu do całego syonizmu wogóle. Przywódcy ruchu są zbyt praktyczni, aby nie rozumieli, że sama tylko nadzieja ziemi obiecanej nie wystarcza, że dla podtrzymania go niezbędna jest—„robota na dziś." Na każdym kongresie słyszymy o programach tej roboty, i istotnie dokonywa się ona. Nie będę mówił o jej stronie ekonomicznej, bo tu dają się tylko zastosować te same kryterya trafności i pożyteczności, co na całym świecie; powodzenie lub niepowodzenie planu kooperatyw rzemieślniczych Nordaua, zwalczanego zresztą przez innych, nie ma nic wspólnego z żydostwem specyalnie. Ale jest robota na dziś, polegająca na szerzeniu oświaty i cywilizacyi między Żydami, na tępieniu szkodliwych przesądów. Wielu syonistów — nazywamy ich tak, choć właściwiej by już było nazwać ich narodowcami żydowskimi—szczególnie z lewicy, zaprzęga się do tej roboty. Takie uprzystępnianie kultury ludowi, o jakie tutaj chodzi, wszędzie było jej unaradawianiem, wszędzie odbywało się w formie narodowej, i tutaj tak samo być musi. Żydzi wszyscy umieją czytać literami hebrajskiemi w swoim języku współczesnym; rzecz naturalna, że uprzystępnianie im kultury nie może czekać na to, aż się nauczą czytać i rozumieć jakikolwiek inny język, lecz że muszą być do tego używane język i pisownia istniejąca, które z kolei same pod wpływem tego użycia rozwijać się muszą. Oczywiście, nie mówię tu o hebrajszczyznie, która tej roli przewodnika oświaty nowożytnej grać nie może, gdyż sama dla większości Żydów nie jest zrozumiała; ale też hebrajszczyzna, jako język narodowy żydowski, pomimo to, że kilku poetów nowożytnych próbuje jej używać, pomimo wszystkich życzeń pobożnych, pozostaje taką samą utopią, jak Palestyna, i trzeźwiejsi—jak np. dr. Henryk Loewe—przedsiebiorą rehabilitacyę „żargonu." Dyalekt ten staroniemiecki, połączony z naleciałościami miejscowemi, którym mówi olbrzymia większość Żydów całego świata, posiada też odpowiednią plastyczność i może być narzędziem nietylko uprzystępnienia masom kultury, ale — kto wie?—może i jej unarodowienia.

Tak postawiona kwestya ma jednak i drugą stronę. Bardzo być może, że asymilacya całych mas żydowskich jest utopią, i że nigdy nie zostanie osiągniętą; mnie osobiście wydaje się ona istotnie nieprawdopodobną. W każdym razie rozszerzanie oświaty wśród Żydów nie może i nie powinno na nią czekać, a przykłady wskazują, że droga ta zwykle prowadzi do wytworzenia się narodowości samodzielnej. Ale w tych warunkach asymilacya [illegible] Żydów jest rzeczą zupełnie nieuniknioną, konieczną i — powiem więcej — pożądaną. Nietylko z naszego własnego stanowiska nie możemy się zgodzić na potępienie Żydów asymilujących się, które głoszą tak fanatycznie syoniści. Przedewszystkiem, nie zawsze asymilacya asymilacyi równa, i nie każdą jednakowo sądzić można i trzeba; sąd zależeć musi od warunków otoczenia, a dalej — od pobudek moralnych, od historycznego położenia narodowości, z którą się ktoś asymiluje, od stanowiska, korzyści lub szkód, jakie w ten sposób sam zdobywa, tradycyj i dążeń, z któremi się przez asymilacyę zespala. Powtóre, i syoniści sami nie każdą asymilacyę jednakowo zwalczają. Wszakże np. organ centralny *Die Welt* wychodzi w języku niemieckim, i język ten jest uważany za półurzędowy, obok urzędowego — hebrajskiego, używany głównie na kongresach itd. Oczywiście, wpływa na to pokrewieństwo „żargonu" z niemczyzną. Ale jeśli, dzięki temu faktowi historycznemu, Żydzi mogą się porozumiewać łatwo z Niemcami, czyż nie jest rzeczą równie ważną i niezbędną, aby mogli się porozumiewać — i rozumieć — z narodem, wśród którego od wieków żyją i żyć wieki będą? *). Żydzi zasymilowani, będąc zarazem członkami tego narodu i Żydami, grają i grać będą pożyteczną rolę łącznika, czynnika zrozumienia i porozumienia.

Ze swej jednak strony my zrozumieć powinniśmy, że pomimo utopijności Palestyny i hebrajszczyzny, ten „lud bez ziemi" i — dodam — bez mowy własnej, faktycznie, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, zamieniać się zaczyna na prawdziwą narodowość w nowożytnem znaczeniu tego wyrazu, i zastosować do tej tworzącej się narodowości ogólno-ludzkie, a i dla nas najpożyteczniejsze, zasady nietylko tolerancyi, ale szacunku i równouprawnienia.

Kazimierz Krauz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Uczczenie wielkiej poetki.

Hołdy jubileuszowe z powodu 25-lecia pracy Maryi Konopnickiej rozpoczął *Tygodnik Ilustrowany* wydaniem numeru wyłącznie jej poświęconego. Zgromadzono w nim urywki i zdania kilkudziesięciu autorów, mające i niemające związku z chwilą pamiątkową. Wiązanka ta mogłaby być obfitsza, a poprzedzający ją literacki szkic jubilatki —szczegółowiej wycieniowanym. Być może, iż zamierzone obecnie uczczenie Konopnickiej częściowo wyrówna niedostateczne uznanie, jakie jej okazywano dotychczas. Ponieważ w dziedzinie twórczości artystycznej należymy do pierwszego rzędu narodów europejskich, nie dziw przeto, że z pomiędzy nas wyszła

*) Bądź mężny, *bądź dumny*, i jednego się naucz jeszcze: *bronić się*, młodzieńcze, bronić się!

*) Zaznaczyć zresztą trzeba, że na ostatnim kongresie po raz pierwszy język polski został uznany za jeden z dopuszczalnych, i mianowany polski sekretarz i tłomacz, że w komitecie na cesarstwo rosyjskie mianowani są osobni przedstawiciele nietylko na Warszawę, ale i na Łódź.

najznakomitsza poetka w dziejach literatury powszechnej. My jednakże nie uświadomiliśmy sobie tego dostatecznie, a nawet w ostatnich czasach świeże nominacye na geniuszów z woli i łaski krytyków lekkomyślnych lub niekompetentnych zniżyły jej stanowisko. Jest to zresztą dość zwyczajne i wszędzie objawiające się falowanie opinij literackich. Tymczasem barwne i lekkie baloniki frazeologii, chociaż chwilowo wzlatują w górę, szybko pękają, a czyny utrzymują się swoją wagą. Dzieła zaś Konopnickiej posiadają tę wagę. Prześwieca z nich szczery, oryginalny, promienny, uroczy talent, który dotąd nie stracił nic ze swego blasku i nieraz rzuca światła młodzieńcze. Takim on jest w swoim artyzmie, a jakże szlachetnym i wzniosłym w swoich natchnieniach!

Literatura i publiczność.

Kłamstwo konwencyonalne utrzymuje powszechnie ten przesąd, iż literatura jest jednym z najtrwalszych skarbów każdego społeczeństwa cywilizowanego, a jej przedstawiciele — jego chlubą, radością i pokrzepieniem ducha... Tak nie jest! Dla większości literatura jest czemś, co ma obowiązek dostarczania rozrywek, zabaw, widowisk efektownych. Tak też ją ta większość traktuje, jak wszelki inny sport.

Literat, twórca, najczęściej jest u nas uważany, jak każdy inny bawiciel tłumów. Jeżeli potrafi dobrze urządzać imponujące widowiska, to zostanie faworytem ogółu, będzie przesadnie czczony, wynoszony i uznawany. Właściwie nas nie cenią, jako przedstawicieli pewnego rodzaju pracy, lecz wówczas uznają, gdy potrafimy czemś zaimponować ogółowi. Znam ojców, którzy woleliby raczej córki swoje widzieć na marach, niż w związku małżeńskim z najbardziej statecznym literatem. Znam damy, które wyodrębniają nas z ogółu śmiertelnych i zarzucają, iż żyjemy podług jakichś potwornych „kodeksów literackich." Bez nas tylko czasami—i to bardzo nieliczni—się nudzą, zawsze jednak gotowi są zastąpić nas kimś innym lub czemś innem. A nadto, nas nie lubią i nie współczują nam, jak wszelkim innym śmiertelnikom, których może spotkać zła dola, nieszczęście, czyhające na wszystkich.

Nieraz już się zdarzało i — niestety! — wciąż się zdarza, że ilekroć jaki literat zapadnie na zdrowiu lub straci, z innych powodów, możność pracy, a ktoś z bliższych zarządzi pomoc dla niego i zwróci się z tem do ogółu, to stamtąd — prócz „łaskawych" datków — wychodzą nieraz utyskiwania na tych, którzy nie umieją „oszczędzać na czarną godzinę," albo wręcz wydziwiania na *żebraków* i *żebractwo*.

Jaka szkoda, że nie mamy instytucyi podobnej kanoniczkom warszawskim! Wówczas niktby nam od żebraków nie wydziwiał, wówczas z takiego przytułku, gdzie zdrowi spędzają czas na próżniactwie i błogiem spożywaniu darów bożych, imponowalibyśmy ogółowi bytem zabezpieczonym, stanowiskiem społecznem i urządzalibyśmy jeszcze, ku jego uciesze, widowiska lub kwesty dobroczynne na ubogich. To byłby los! Tymczasem za pracę, przedwcześnie wyczerpującą siły, za obsługiwanie ogółu kapryśnego, za wszelkie roztargnienia i zabawy, spotykać się trzeba w chwili nieszczęścia z zarzutem żebractwa... *Wł.*

Odpowiedzi Dyrekcyi Głównej T. K. Z.

Ogłoszone przed kilku dniami odpowiedzi Dyrekcyi Głównej Tow. kred. ziemsk. na warunki, „podane przez różne grupy stowarzyszonych w czasie ostatnich zebrań okręgowych," w roku 1900 są nad wyraz charakterystyczne. Nie jesteśmy na tyle wtajemniczeni we wszystkie szczegóły wielkiej, bądź co bądź, machiny życia wewnętrznego Towarzystwa, byśmy mogli dostatecznie ocenić słuszność żądań stowarzyszonych lub zarzucić im bezpodstawność. Ale z samego tonu tych odpowiedzi wieje duch skostniałego konserwatyzmu, z fanatyczną uporczywością idącego raz wytkniętą, a potem tysiąckrotnie kołami codziennej praktyki ubitą drogą; widać z tych wypracowań leniwą chęć płynięcia raz już wyżłobionem korytem. Jakże znamienne są te odmowy na żądania na pozór słuszne i rozumne, odmowy, uzasadnione względami formalistyki biurokratycznej. A znamienniejsze bodaj jeszcze odsyłanie wszczętych kwestyj do komisyj i delegacyj specyalnych, gdzie niezawodnie zostaną pogrzebane na wieki! A jednak członkowie nie są chyba uszczęśliwieni obecnym błogostanem Towarzystwa, jak to czuć z ich żądań, postawionych w r. 1900 i z tych głosów, jakie obecnie jeszcze odzywają się po prowincyi. I będzie tak ciągle, aż fala nowego życia zrobi wyłom w twierdzy zaśniedziałego rutynizmu. *h.*

Projekt nowej szkoły.

Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych jeszcze w roku ubiegłym powzięło postanowienie stworzenie szkoły nowego typu, którąby odpowiadała potrzebom nowych warunków ekonomicznych. Owocem wywiadów, zarządzonych przez Towarzystwo, jest projekt wydrukowany w kilku ostatnich numerach *Gazety Rzemieślniczej*, opracowany przez p. Józefa Rzętkowskiego, a przyjęty przez członków. Szkoła, projektowana przez p. Rzętkowskiego, to coś zgoła odrębnego od istniejących dotychczas zakładów pokrewnych, to szkoła handlowo-rzemieślnicza, mająca na celu wytworzenie u nas warstwy rzemieślników inteligentnych. Rzecz ze wszechmiar godna zaznaczenia; jeżeli szkoła taka przyjdzie do skutku i będzie się rozwijała pomyślnie, może podniesie poziom umysłowy rzemieślników i zasypie choć w części tę niezgłębioną na pozór przepaść między mierniejszym „inteligentem," np. subjektem w sklepie bławatnym a uzdolnionym i wyszkolonym czeladnikiem krawieckim. Projekt został przedstawiony do zatwierdzenia władzom właściwym; życzyć mu należy wszelkiego powodzenia. *h.*

Odpowiedź p. Jahrblumowi.

Szanowny Panie! Na ogłoszony pod moim adresem w 72 nr. *Wschodu* publiczny list Pański, wzywający mnie do oświadczenia się w przedmiocie zapisu Sterna i wyrażonej o nim przez *Prawdę* (nr. 3) opinii, odpowiem krótko.

Chociaż w moich przekonaniach i moich pismach strzegę się ciężkiego a tak często popełnianego grzechu odmawiania jakiemukolwiek narodowi praw do samoistnego życia i naturalnego rozwoju, wyznawcą mrzonek syonistycznych być nie mogę. Żydzi bowiem tegocześni nie mają ani własnej ziemi, ani własnego języka, ani własnej nauki, sztuki i literatury, wogóle nie posiadają ani gruntu, ani materyału kulturalnego dla stworzenia swojej ojczyzny i odrębnego narodu. Znaczna i cywilizacyjnie najlepsza ich część wrosła w inne pnie antropologiczne, żywi się ich sokami, przekształca się pod ich wpływem i odciąć się od nich ani nie chce, ani nie może. Ponieważ zaś skutkiem tych względów syonizm, jako tkanka obietnic, przyrzeczeń i nadziei, których nigdy spełnić nie zdoła, staje się tylko środkiem agitacyjnym, daremnie drażniącym namiętności, zaostrzającym przeciwieństwa i utrudniającym proces asymilacyjny, więc dla wszystkich społeczeństw, zawierających w swem łonie Żydów, ma znaczenie siły rozkładowej i groźnej. Taką siłą ujemną jest on również, i to w najwyższej skali, dla naszego społeczeństwa.

W logice tej jego oceny leży naturalnie sympatya ku wszelkim działaniom, dążeniom, zabiegom i ofiarom, mającym cel przeciwległy — jednoczenie żywiołów różnych, zwaśnionych a skazanych na wspólne pożycie. Dlatego zapis Sterna, obdzielający darami nietylko Żydów, ale i chrześcian, był czynem obywatelskim, tem bardziej wskazanym i społecznie wymagalnym, że Żydzi w ogromnej większości uprawiają zawody nieprodukcyjne, czyli że źródła ich majątków leżą po za sferą ich współwyznawców. Tę tylko myśl widzę we wzmiance *Prawdy*, nie dostrzegam natomiast żadnych „kantat i hymnów pochwalnych," które Pana oburzyły i nie mogę również wraz z Panem posunąć się do posądzenia Sterna o zamiar „śmiesznej spekulacyi na efekt" — po śmierci. Sądzę, że chciał on tylko wyrazić swoją łączność z całem społeczeństwem, swoją dla niego wdzięczność — nic więcej. Powinien był — według Pana — przekazać swój majątek wyłącznie Żydom, gdyż oni są najbiedniejsi. Nie przeczę, że oni w najniższych warstwach są „proletaryatem proletaryatów," że zasługują na pomoc i współczucie, ale i to również jest pewnem, że po nad tą nędzą leżą w świecie żydowskim ogromne bogactwa, że w nim coraz bardziej skupiają się zasoby kapitału ruchomego, że ten kapitał ścieka kroplami i potokami przeważnie z pracy pokładów nieżydowskich, że w tych pokładach są także liczne i wielkie gniazda niedoli, że wreszcie sprężyną czynów obywatelskich nie może być jedynie rachunek mechaniczny, nad który czasem dla ogólnego dobra trzeba przenieść względy innej, społecznej natury.

W rozważaniu takich i podobnych faków oraz stosunków bądźmy zawsze ludźmi, a nie sekciarzami. Bo odpowiedzią na fanatyzm jest zawsze fanatyzm, słowa rzucane pod kątem syonistycznym odbijają się pod kątem antysemityzmu. A jeżeli ktoś zajmowanego domu nie uważa za własny i nie chce łącznie ze wszystkimi współmieszkańcami dbać o jego bezpieczeństwo i trwałość, to powinien pamiętać, że w cudzym nie wolno mu rozkładać ogniów, grożących pożarem, rąbać go, niszczyć lub przerabiać dla swoich potrzeb. Patryotyzm żydowski, który nie przyznaje kraju, w którym żyje, za swoją stałą siedzibę, lecz za czasowy hotel, musi być przygotowany na energiczną obronę ze strony właścicieli, którzy w tym domu pozostać pragną i nigdzie zeń wynieść się nie myślą.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

A. Świętochowski.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Wł. Smoleński: *Pisma historyczne*. Kraków 1901: I str. 377, II str. 483 i III str. 507.

Wszystkie prace Smoleńskiego odnoszą się przeważnie do dziejów w. XVIII. Te czasy przykuwały uwagę historyka w przeciągu 25 lat zawodu pisarskiego. Dlaczego? Pociągnął badacza ów przełom doniosły, który nastąpił w życiu naszego narodu w połowie tego wieku, a którego skutki trwają do dziś dnia i trwać będą dopóty, dopóki nie dokona się zupełne przeobrażenie stosunków życiowych: „Aby nie zboczyć z toru logiki tego wielkiego procesu, którego początek sięga połowy ośmnastego stulecia, a koniec w różową wybiega przyszłość, winniśmy ciągle mieć oko zwrócone w prze-

szłość. Architektura bowiem budowy, pomyślanej przed wiekiem, pozostać musi nietkniętą; naszą zaś rzeczą jest bezustannie wytwarzać materyał nowy, przerabiać stary, gromadzić go i składać na gotowych podwalinach, rzuconych przez przodków" (II t. str. 225). Tak pisał historyk jeszcze w r. 1875, tj. w początkach swej pracy dziejopisarskiej. Powyższe wyrazy dają nam — według naszego mniemania — możność zrozumienia, dlaczego ta praca przybrała właśnie ten, a nie inny kierunek.

Najważniejsze dzieło Smoleńskiego p. t. „Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII" (nie weszło w skład omawianego przez nas wydawnictwa) wyświetla nam ów przełom znamienny, a drobne rozprawy i rozprawki są niby pracami przygotowawczemi do tego dzieła, tak ściśle przytem ze sobą powiązanemi, że stanowią spójną całość. Zrozumieć należycie doniosłość przewrotu umysłowego, który dokonał się w XVIII w. można — rzecz oczywista — tylko pod warunkiem znajomości stanu umysłowego, w jakim społeczność nasza znajdowała się przed owym przewrotem. Z konieczności więc historyk musiał się zwrócić do badań umysłowości polskiej w okresie poprzednim i rezultaty ich złożył nam w dwóch rozprawach „Szlachta w świetle własnych opinij" i „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej." Szlachta w przeciągu czterech niemal wieków była stanem, w którym ogniskowało się życie narodu, stanowiła więc jego inteligencyę. Wobec tego jej zapatrywania się na własne stanowisko w społeczeństwie i stanowisko innych warstw, jej poglądy na cele, zadania i sposoby życia dają nam wyobrażenie o istocie owej inteligencyi, a przeto i o poziomie umysłowym całego społeczeństwa. Historya kreśli tę szlachecką filozofię życiową na podstawie dzieł pisarzy XVI w., wskutek czego wizerunkowi zbywa na dokładności i zupełności. Trudno zrozumieć, dlaczego nie zostały uwzględnione przez badacza dzieła pisarzy z XVII i XVIII w., dlaczego pominął np. sądy takiego teoretyka poglądów szlacheckich, jakim był A. M. Fredro. Zarzut ten stanowi drobnostkę wobec bogactwa treści, zawartej w pomienionych artykułach. Nikt przed Smoleńskim nie przedstawił tak jasno i tak dosadnie zapatrywań, przekonań i wierzeń szlacheckich, więc nikt też lepiej nie określił istoty umysłowości naszej w wiekach ubiegłych. Stulecie XVIII spowodowało wielkie zmiany w życiu umysłowem naszego narodu. Otóż przeobrażenie to zbadane zostało przez historyka szczegółowo i znakomicie, przytem oddał on naszemu dziejoznawstwu usługę niemałoważną. Stan umysłowy społeczeństwa polskiego przed pierwszym rozbiorem Rzplitej malowano zwykle barwami rozpaczliwie ponuremi. Znakomity badacz „Dziejów wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta" ze swych wieloletnich żmudnych poszukiwań wyniósł przekonanie, że Polska ówczesna „nie posiadała ludu ani polskiego, ani szlacheckiego," że tylko „liczyła około 11 milionów organizmów dwurękich, niemających wyobrażenia o Rzeczypospolitej i około pół miliona inteligencyi dotkniętych trupim rozkładem." Smoleński—zdaniem naszem—dowiódł, że w podobnych sądach zawiera się dużo przesady, że społeczeństwo polskie dawało znamienne objawy żywotności umysłowej, już w pierwszej połowie XVIII wieku. Budzenie się ówczesnego ruchu naukowego historyk przedstawił w rozprawach „Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce wieku XVIII" i „Kalendarze w Polsce w. XVIII." Artykuły te, treści niemal bibliograficznej, mogą znużyć uwagę czytelnika drobiazgowością szczegółów. Lecz z drugiej strony należy mieć na względzie, że tylko drobiazgowe poszukiwania przygotowawcze mogą rzucić trwałe podstawy pod gmach uogólnień naukowych, które będą posiadały istotną wartość prawdziwej wiedzy. W innych rozprawach Smoleński porusza również kwestye często zbyt specyalne, lecz zarazem nader ciekawe i ważne. Niewielka rozprawka „Przyczyny upadku kodeksu Zamoyskiego" rzuca światło na okoliczności, które towarzyszyły odrzuceniu przez sejm 1780 r. słynnego „Zbioru praw sądowych." Historycy składali dotychczas winę za ten czyn na samo społeczeństwo polskie. Smoleński w źródłach rosyjskich odnalazł fakty, stwierdzające, że „katastrofę, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie, spowodowały wpływy zewnętrzne, które zawsze, nawet w okresach niewątpliwej czerstwości moralnej społeczeństwa, umiały znaleźć śród niego odpowiednie ku swej usłudze narzędzia," jednem słowem, że projekt kodeksu odrzucono skutkiem nacisku, który wywarł na sejm poseł rosyjski hr. Stackelberg. Artykułem „Cezar Pyrrhys de Varille" historyk wydobył z pyłu zapomnienia dzieło pisarza-cudzoziemca, który pierwszy śmiało uderzył na zgubne instytucye w ustroju Rzplitej—liberum veto i elekcyę.

Pomijamy inne prace Smoleńskiego, dotyczące dziejów XVIII w. i zaznaczamy tylko ogólny ich charakter: nie obejmują one całokształtu stosunków życiowych społeczeństwa, ale za to są znakomitymi przyczynkami do poznania pewnych stron życia ówczesnego.

Jako umysł trzeźwy i jasny, Smoleński opiera wszelkie swe sądy na niewzruszonej podstawie faktów licznie zgromadzonych i umiejętnie usystematyzowanych, nie bawi się w ryzykowne hipotezy, które bywają często bardzo ponętne, ale zarazem i niebezpieczne dla nauki, bo mącą prawdziwe pojmowanie rzeczy i stosunków. Poglądy swoje na historyę badacz wypowiedział w rozprawie „Szkoły historyczne w Polsce." Jest to zarys historyczny rozwoju dziejopisarstwa naszego od schyłku XVIII w., tj. od chwili, kiedy historya zaczęła wchodzić u nas na tory badań naukowych. Historya dla Smoleńskiego jest nauką, która, „jak każda inna, nie ma innego zadania nad konstatowanie i badanie natury zjawisk w celu odkrycia praw, rządzących ludzkością." Historyk poddał ostrej, lecz zarazem i słusznej, krytyce poglądy t. zw. szkoły krakowskiej i wykazał stanowczo, że szkoła ta kaleczy szpetnie zasadę objektywizmu, chociaż głosi szumnie i uroczyście, że zasada ta stanowi kardynalną podstawę jej wyznania wiary. Słuszny ten protest założył badacz przeciwko punktowi widzenia, z którego dziejopisarstwo nasze zwykło roztrząsać objawy życia dziejowego. „Branie katastrofy upadku — powiada — za punkt wyjścia w poglądzie na przeszłość jest z gruntu rzeczą fałszywą, dla nauki historycznej szkodliwą." Upadło państwo, lecz naród nie zniknął z szeregu narodów żyjących, narodów przytem, które mają zupełne prawo do nazwy historycznych, a właśnie naród powinien stanowić „główny przedmiot badania historycznego."

Sądzimy, że Smoleński nietylko wyznaje potrzebę zasady objektywizmu dla historyka, lecz i przestrzega jej wiernie w swych pracach; jeżeli niezupełnie ściśle, to daleko ściślej bez porównania, aniżeli inni badacze. Jednakże pomimo to osobistość autora nie znika za szeregiem faktów, które wykłada, owszem jego poglądy wolnomyślne i postępowe w każdym artykule wyraźnie się uwydatniają. Ta cecha utworów pisarza sprawiła, że krytycy, zwłaszcza należący do obozu klerykalnego, zarzucali mu przesadę i jaskrawość rysunku w obrazowaniu naszej przeszłości; zapominali, że pochodziło to nie stąd, iż historyk z rozmysłu przepuszczał zjawiska historyczne przez pryzmat własnych upodobań, lecz stąd, iż nie wahał się wydobywać na jaw faktów jaskrawych. Kto przeczyta np. rozprawę p. t. „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej," ten uzna chyba sąd podobny o charakterze dzieł historycznych za słuszny. Ludzi tej samej wiary razić powinna w tym artykule nie wolnomyślność pisarza, lecz przesądność naszych przodków, których wierzenia przybierały postać tak dziwaczną, że nie powiemy potworną.

Powinniśmy zwrócić jeszcze uwagę czytelnika na charakterystyki dwóch naszych historyków znakomitych — Kalinki i Jarochowskiego: napisane są one artystycznie, po mistrzowsku.

Smoleński pisze stylem prostym, jasnym i jędrnym, nie lubuje się w szumnej frazeologii, która tylko często myśli zaciemnia i obraz nietyle ponętnym, co mglistym czyni.

Co się tyczy stron ujemnych, błędów, przeoczeń i niedokładności w pracach historyka, wytykać mu je może ten tylko, kto tak głęboko, jak on, sięgnął w życie badanej epoki. My musimy ograniczyć się do roli sprawozdawców; przypuszczamy wszakże, że te braki są nieliczne i małoznaczne.

Witold Nowodworski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Antoni Lange. *Studya i wrażenia.* Warszawa.

Z kilkunastu artykułów, składających się na „Studya i wrażenia," największą ciekawość budzą trzy początkowe, stanowiące niemal trzecią część książki, w których autor usiłuje wniknąć w istotę twórczości, znaleźć filozoficzną formułę rozwoju sztuki, a zarazem wskazać podstawę klasyfikacyi umysłów twórczych i kierunków ich działalności. W innych rozdziałach, dotykając poszczególnych zjawisk czy zagadnień, autor częściowo przynajmniej rozwija także swe poglądy na pochodzenie sztuki, jej rolę wśród różnych objawów życia duchowego i na jej przyszłość.

Czy poszukiwane prawa zostały zdobyte? Czy ujęto je w ścisłe klamry określeń, ustalających wzajemny stosunek i oddziaływanie rozmaitych pierwiastków? Z rozstrzygnięciem tych pytań należy chyba się powstrzymać do chwili, kiedy autor wykończy swe dzieło o geniuszu, do którego rozprawy, w niniejszej książce zawarte, mają być zaledwie jednostronnym szkicem. Zwróćmy raczej uwagę na metodę badań.

Według autora Hegel i Goethe są głównymi przedstawicielami myśli niemieckiej. Oba mieli jedną ideę: „powszechnego związku i powszechnego rozwoju wszechrzeczy." Idea ta przyświeca również wszelkim poszukiwaniom p. Langego. Tylko, dodaje następnie, dopóki myśl niemiecka pozostawała w Niemczech, „kręciła się w błędnem kole idei ogólnych, bezpłodnych..." Dziś, *zlatynizowana* powraca do swej ojczyzny (Taine, Renan, Zola itd.), i dziś dopiero skrystalizowała się w „rzeczy płodne i twórcze." Zdaje się, że p. A. Lange miał w pamięci własną swą myśl, *niezlatynizowaną* dotychczas, ze wszelkiemi tej okoliczności następstwami. Posiada on umysł, który ze wszystkiego, czego się tknie, z każdego pojęcia, z każdego zjawiska konkretnego — tworzy abstrakcyę tak lotną, że się całkiem wyślizguje ściślejszej analizie. W abstrakcyi tej płonie ognik

przeświadczenia o powszechnym związku wszechrzeczy," to prawda; niemniej jednak nie skupia ona w jeden punkt wszystkich znamion wspólnych, istotnych, w naturze rzeczy tkwiących, któreby w jedną gromadę łączyły szereg zjawisk i wyodrębniały ją od innych. Badacz znajduje nie syntezę, nie prawo, lecz słowne uogólnienie, jakiś znak grupy nieokreślonej ani pod względem zakresu, objętych przez nią przedmiotów, ani też treści pojęcia. Oddziaływanie cywilizacyjne dwu narodów staje się dlań „myślą niemiecką," „duchem gotyckim," „duchem klasycznym" itp. Luter, Cromwell, Leibnitz, Szekspir, Bakon, Ruskin itd. itd. są jednako objawem protestu „ducha gotyckiego"—„przeciw gwałtom ducha rzymskiego."—„Celem ostatecznym sztuki jest odzyskanie raju na ziemi, odzyskanie raju—to *połączenie ducha z naturą*." To jest pierwsze zdanie rozprawy, mającej wyświetlić stosunek między przyrodą a duchem. Co tu rozumieć pod jednem pojęciem i drugiem? W jaki sposób ma się odbyć połączenie, i dla czego ma ono być rajem? W umyśle czytelnika powstaje odrazu chaos pytań i wątpliwości: autor nie użyczył nam promyka, oświetlającego ścieżkę, którą mamy z nim postępować. „Duch ludzki — czytamy w rozprawie pierwszej „O sztuce" — przez przyrodę podrażniony, wyodrębnia się z łona macierzystego i walczy z naturą. Wówczas dostrzega w niej — jak mówi Krasiński — szatana, który jednak zwalczony, staje się aniołem. Rozanielenie natury prowadzi do zbratania żywiołów (Shelley). Między tem stanowiskiem pierwotnem — jedności — a tem stanowiskiem ostatecznem — zbratania, mieści się cały szereg przemian i ruchów." W jakim punkcie czasu, na jakim szczeblu rozwoju człowieka autor dostrzegł ów stan bezwzględnej „jedności," poprzedzający pierwotne „podrażnienie" przez naturę? Jakim kształtem ma się odbyć zbratanie? Dlaczego *to*, nie co innego ma być celem dążeń ludzkości? Autor kształceniu się świadomości naznacza drogę filogenetyczną. „Wyodrębnienie ducha z natury odbywa się drogą powolnych kształtowań od niewidzialnej samowiedzy kryształu do drażliwości monety i od ruchów zarodka w łonie matki aż do najwyższej twórczości Dantów i Szekspirów." Ale jeśli tak jest, czyż wolno uznać za prawidłową i obrać za punkt wyjścia takie oto zestawienie. „Nowonarodzone dziecko odbiera naraz zbyt wiele wrażeń... Dziecko ich nie rozróżnia; dusza jego jest jednością chaotyczną... *Taki sam stan*, jak u dziecka, znajdujemy u człowieka dzikiego, lub pierwotnego." „W dobie pierwotnej, kiedy człowiek... zaledwie czucie swoje wyróżnia, jest on z naturą połączony w jedność... Wrażenia jego są wirem." Otóż, cofając się jak najdalej wstecz, nigdy nie dojdziemy do rzekomej jedności przedmiotu. Człowiek pierwotny nigdy nie był niemowlęciem, nigdy wrażenia jego nie były „wirem," gdyż i dziki, i *Pithecantropus erectus*, i protoplasta tego ostatniego byli ogniwami ewolucyi, bardzo już, daleko posuniętej. Gdzież tedy owa poszukiwana chwila „podrażnienia" pierwotnego? Zobaczmy, jak się to podrażnienie odbywa. Natura, wyłoniwszy z siebie ducha, „stanęła wobec niego jako przedmiot, uczyniwszy z człowieka podmiot; wlała weń Ja, sama stawszy się nie — ja. *W tem przeciwieństwie* zawiera się źródło jego starć z naturą..." Jakto? W *logicznem* przeciwieństwie źródło walk konkretnych? Może tu chodzi wprost o wzajemne oddziaływanie „ja" i „nie ja"? Albo nie, boć zaraz czytamy: „starć, wywołanych przedewszystkiem głodem." Czy to nie gmatwanina? Gdzież to — nie mówię, w dziejach ludzkości — lecz na drabinie zwierzęcej znajdziemy ów punkt, od którego głód *rozpoczyna* swe działanie, jako sprężyna ruchu? — Na jakim szczeblu drażliwość tego lub owego ustroju, głodem jego komórek wywołana, już się *czuciem* głodu staje — nie wiem. Ale to pewna, że tam jeszcze o „duchu ludzkim," a więc i o początku sztuki i wiedzy (ludzkiej) mowy być nie może.

Nie chcę dowodzić, że autor prawi same niedorzeczności; sądzę tylko, iż myśl swą — o stopniowym rozwoju duchowych zasobów człowieka pod wpływem walk z przyrodą, nie tak znowu dalece oryginalną — owinął w szereg twierdzeń schematycznych i chwiejnych. Istotna treść rozwiewa się w jakąś mgłę niepochwytną, a obfitość analogij, często za dowód podawanych utrudnia jej zrozumienie. „Może jakiś punkt matematyczny był rodzicem wszystkich zjawisk(?)... *Tak samo* w pierwszym punkcie świadomości znajdują się wszystkie zjawiska jej późniejszego rozwoju" Albo: „Właściwym stanem natury jest mrok; niebo jest ciemnością; tylko drobne gwiazdy na nim świecą... *Jak zwolna* wykwitała światłość z mroku, świadomość z nieświadomości, wola z konieczności, *tak też* powoli rodziło się wszelkie wyodrębnienie z pierwotnego zjednoczenia." Otóż i mamy — najwyższą syntezę! „Wyodrębnienie," „zjednoczenie"! Tylko mrok to nie stan *natury*, i nie ona wydaje z siebie światłość, która jest tylko reakcyą „ducha" filogenetycznie rozwijającą się. Spencerowskie różnicowanie, na równi z heglowskim prawem trójcy wszystko obejmuje, lecz niczego nie wyjaśnia, gdyż jest tylko prawem formalnem.

Zachodzi tu jeszcze inna okoliczność. Pojęcia, nieodgraniczone od siebie z dostateczną ścisłością, i w treści swej wyraziście niewyodrębnione, objawiają wielką przelewność i, stosownie do swego materyału eterycznego, w oczach się naszych przekształcają. W ten sposób odbywa się ciągła zamiana jednych niewiadomych na inne. „Dopóki duch błądzi samotnie, zdala od natury, dopóty jest niecałkowity... Dopóty przeważnie życiem rozumu żyć musi(?); w zlaniu z naturą, ta ostatnia, jako intuicya i natchnienie, duchem kieruje. Całkowitość ducha jest w natchnieniu. W rozumowaniu jest rozbicie, rozdwojenie; rozdwojenie to ból." Samotne błądzenie ducha—rozumowanie — ból... Natura—natchnienie—całkowitość... x=y=z.

O ile w zakresie syntezy uderza nas niezlatynizowana „gotyckość" ducha autora, o tyle w rzeczach, dotyczących współczesności, zwrócić musi uwagę jego eklektyzm, równouprawnienie wszelkich wiar i stanowisk. To też powołuje się wciąż na myślicieli i pisarzy, niekiedy wręcz przeciwnych sobie kierunków: „Umysły twórcze, współczesne są w tem położeniu, że pomimo dużej samowiedzy *nie wiedzą do jakiego celu dąży sama społeczność*." I p. Lange do tych umysłów należy. „Nasza godzina jest to wiek bez linii głównej, bez dyrektywy, bez syntezy... Wiek przemiany ciągłej, nieustannej.., Żadne z haseł, które brzmiały ostatniemi czasy, nie opanowały świata." To prawda. Lecz można mieć ukochanie jakiejś idei, głębokie przeświadczenie o jej prawdzie, o jej żywotności i przyszłem zwycięztwie. Nikt głosowania nie urządza, by według większości kresek przychylić się do tej, lub owej religii. Otóż, zdaje mi się, iż takiej idei i wiary w nią p. L. nie posiada. Natomiast poszukuje „ideału współczesnego," „słowa" itp. W duchu jego niema tego magnesu, co jedne pierwiastki przyciąga, inne odpycha, i dlatego cała rzeczywistość współczesna wydaje mu się chaosem bez linii głównej. W tym chaosie widzi on wyjaśnienie tej okoliczności, iż „pomimo liczne dzisiejsze talenty, geniuszu niema i zapewne długo nie będzie." W jego języku abstrakcyjnym określa się to formułą; „ta sama energia, którą talenty dzisiejsze tracą na poszukiwanie siebie, ginie dla twórczości."

Z eklektyzmu Langego pochodzi jego osamotnienie. Propagator nowszych prądów w sztuce, bojownik w tym kierunku bardzo już dawny i zasłużony, dziwnie cierpkich nasłuchać się musi rzeczy od swych własnych sprzymierzeńców. Zarzucają mu, że się przystosowywa do „czytelnika," żałują go, iż się zbłąkał... Bo jakżeż Nie nowina u niego takie np. zdanie: „Jaźń, wnętrze duszy, jest niewątpliwie największą osią poezyi, ale jest to roślina wątła, która co chwila powinna w nową moc urastać *od dopływu sił zewnętrznych*, inaczej prędko się wyczerpie." Dla prawowiernego modernisty to jakby woda święcona dla dyabła.

Wśród artykułów sprawozdawczo - krytycznych, zasługuje na uwagę bardzo umiejętne porównanie między Tardem a Nietzschem, wykazujące punkty styczne tych dwu przeciwległych biegunów. Piękna jest rozprawa „Poeci o geniuszu," ciekawe rozdziały, dotyczące „poezyi ludów dzikich" i „dziedziny twórczości ludowej." Wyróżnić też należy ustępy, poświęcone bardzo trafnej krytyce poglądów M. Kawczyńskiego na pochodzenie rytmu i poezyi: („Sztuka i natura"). Wogóle, ze „zlatynizowanej" cokolwiek myśli p. Langego wypłynąć by mogły rzeczy piękne i pożyteczne.

A. Drogoszewski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Teorya o przesileniach wobec faktów.

II.

Kiedy w Europie konjunktura poczęła się naprawiać, przesilenie wybuchło w Stanach Zjednoczonych w r. 1896, lecz zostało szybko przezwyciężone, dzięki właśnie ogólnemu wzrostowi popytu na towary w Europie i rozszerzeniu rynku zbytu w Azyi wskutek szybkiego zakończenia wojny chińsko-japońskiej. Od tego czasu w Stanach Zjednoczonych rozwój odbywa się w szalenie szybkiem tempie i trwa dotąd pomimo przesilenia w Europie. Do tego faktu wypadnie nam jeszcze powrócić. W Rosyi przebieg był taki: Od 1894 r. mniej więcej poczyna się niesłychanie obfity napływ kapitałów do przemysłu, produkcya przez pięć lat wzrasta w sposób nadzwyczajny, ale zanim jeszcze w Europie zachodniej mogła być mowa o przełomie, tu ukazują się oznaki nadprodukcyi i nadmiernej spekulacyi. To samo zjawisko powtarza się w Japonii: kraj ten przebył od czasu wojny z Chinami epokę typowego gryndерstwa: produkcya i handel zewnętrzny wzrastały jak na drożdżach, lecz już w r. 1899 wystąpiły oznaki przesilenia; zaburzenia w Chinach wywołują chwilowe ożywienie, gdyż armie europejskie zaopatrywały się w żywność po części w Japonii, kapitały napływały; lecz obecnie synowie wschodzącego słońca mają już u siebie najpiękniejszy i najgruntowniejszy krach. Okazuje się tedy, że właśnie w krajach nowej lokaty kapitałów przesilenie wybucha najprędzej. Inaczej też być nie może: siły wytwórcze w tych krajach rozwijają się szybciej, niż spożycie. Prócz tego każdy z tych krajów był przez czas pewien rynkiem bardziej wchłonnym dla krajów wysoko rozwiniętych przemysłowo — wzrastało szybko zapotrzebowanie na maszyny, na półfabrykaty, na materyały pomocnicze; lecz znów okazało się, że produkcya tych towarów w takich krajach, jak Anglia, Niemcy, Belgia, Francya, wzrastała jeszcze szybciej od zapotrzebowania. Kapitały, nagromadzone w Europie Za-

chodniej, zostały rzeczywiście na razie, wskutek tego popytu zatrudniona, lecz wnet okazało się, że przeceniono zdolność wchłonną nowych rynków.

Wszystkie dane statystyczne świadczą, że wytwórczość w ostatnim okresie gorączki przemysłowej wzrastała wprost z olbrzymią szybkością. Podajemy kilka cyfr, dotyczących produkcyi żelaza i stali, gdyż mogą one posłużyć za miernik ogólny: Produkcyę żelaza (surowca) obliczono w roku 1885 na 19,750,000 ton metrycznych (po 1,000 kilogramów), w r. 1895 na 29,780,000 ton, w 1900 na 40,968,000 ton; produkcyę stali obliczono w r. 1885 na 6,300,000, w r. 1895 na 14,780,000, w 1900 na 27,362,000 ton. Liczby te jak najdokładniej potwierdzają pogląd Marxa: produkcya w dziesięcioleciu 1885—95 wzrastała stopniowo, odpowiednio do poziomu technicznego, jaki zdobyto; był to rozwój względnie jednostajny; nastaje okres nadprodukcyi i szwindlu — siły wytwórcze zostają napięte do *maximum*; w ciągu pięciu lat przyrost produkcyi był większy, niż poprzednio w ciągu dziesięciu; przekroczono „granice kapitalistyczne procesu wytwarzania,“ o których stanowi zdolność spożywcza ludów. Wskutek nadprodukcyi nastąpił przełom gwałtowny — krach przemysłowy.

Bernstein twierdzi, że rozszerzenie rynku przemysłowego, oraz ułatwienia w przewozie towarów i przesyłaniu wiadomości przeciwdziałają przesileniom. Jak widzimy, rozszerzenie rynku, jakie niewątpliwie miało miejsce w okresie od 1885 do 1900 r., było raczej pobudką do nadprodukcyi w ostatnich pięciu latach. Co zaś do ułatwienia w przewozie i w udzielaniu wiadomości, to trudno zrozumieć, jakie działanie przypisuje Bernstein tym czynnikom. Zapewne, dawniej tak bywało, że zanim statek żaglowy, wiozący bawełniaki angielskie, opłynąwszy Afrykę, zawinął do portu indyjskiego, położenie zmieniło się doszczętnie: ceny spadły, towar stawał się niesprzedażnym, powstawały straty; dziś — czas przewozu jest skrócony o trzy czwarte, a o stanie rynku indyjskiego nadchodzą codziennie wiadomości telegraficzne z Bombaju do Manchesteru. Są to niewątpliwie zmiany bardzo doniosłe, lecz nie mogą zmienić położenia zasadniczo: Fabrykant bowiem jak dawniej, tak i teraz, musi robić obliczenie naprzód, na bardzo długi okres czasu, na tem dłuższy, im większem jest przedsiebiorstwo; musi on na cały rok z góry zaopatrywać się w materyały surowe i pomocnicze, musi bez względu na konjunkturę liczyć się z potrzebą amortyzacyi ogromnego kapitału stałego. Przedewszystkiem zaś jak dawniej, tak i teraz w wytwarzaniu panuje rozprzężenie; ceduła giełdowa uwiadamia o cenach, lecz dokładnych danych o stanie rynku, o zapasach, o tem, po jakiej cenie gotowi są oddać towar współzawodnicy — nikt nie udzieli przedsiebiorcy. Należy wziąć pod uwagę, że statystyka wytwórczości do dziś dnia leży w powijakach, że nie mamy np. dotąd statystyki urodzajów, że statystyka fabryczna nie zasługuje na najmniejsze zaufanie, prócz nielicznych danych, dotyczących towarów, podlegających akcyzie i dotyczących górnictwa. Prócz tego zaś, poziom wykształcenia ekonomicznego kierowników przemysłu i handlu jest nader nizki. W lipcu 1857 r. dyrektorowie banków winszowali sobie wzajemnie pomyślnego, kwitnącego stanu interesów, a w sierpniu tegoż roku wybuchło przesilenie na całej linii. Obecnie powtórzyło się kubek w kubek to samo. Leży przede mną cały stos sprawozdań towarzystw akcyjnych — wielkich przedsiebiorstw przemysłowych i bankowych — niemieckich, francuskich, angielskich, belgijskich — datowanych z połowy r. 1900; z bardzo nielicznymi wyjątkami są one trzymane w tonie nadzwyczajnie optymistycznym, malują położenie ekonomiczne w barwach tęczowych, a przecież już wtedy burza wisiała tuż nad głowami! Jeszcze nawet w sprawozdaniach noworocznych 1901 r., kiedy już ceny żelaza poczęły spadać i wybuchło kilka przesileń poważnych— w przemyśle maszynowym Niemiec, hutniczym Belgii i Anglii, sukiennym Francyi— w sferach miarodajnych panuje nastrój optymistyczny, a bank angielski i niemiecki (Reichsbank) z „otuchą patrzą w przyszłość.“ I nietylko kierownicy przedsiebiorstw tak zapatrują się na sprawę: ten sam nastrój panuje u odpowiedzialnych kierowników spraw publicznych, u ministrów wielkich mocarstw. Angielski sekretarz skarbu troski o finanse, wypowiadane z powodu wojny jeszcze pod koniec r. 1900, zbywa twierdzeniem o „niebywale kwitnącym stanie interesów“; w parlamencie Rzeszy niemieckiej sekretarz finansów w maju 1900 r. broni się przed otwarciem nowych źródeł dochodu, gdyż „nadwyżki z dochodów na pewno pokryją zwiększenie wydatków,“ a taki wytrawny znawca spraw finansowych, jak Miquel, człowiek, który z doświadczenia wiedział, czem jest grynderstwo i krach spowodowany nadprodukcyą, twierdzi również w tym czasie, że zwiększone wydatki na marynarkę nie sprawią zaburzenia w budżecie wobec niesłychanie pomyślnej konjunktury. Tymczasem w r. 1901 zarówno we Francyi, jak w Anglii i Niemczech, okazały się milionowe niedobory w budżecie wskutek zmniejszonych dochodów, spowodowanych zastojem ekonomicznym, uszczupleniem handlu, zmniejszeniem spożycia mas. Stąd wniosek, że dziś przebieg konjunktury ekonomicznej jest również trudnym do sprawdzenia, jak przed pół wiekiem.

Co do ułatwienia przewozu, zaznaczyć tu jeszcze należy fakt, że właśnie udoskonalenie środków komunikacyjnych, jak okazało się obecnie, przyczynia się do rozpowszechnienia przesileń. Chodzi mianowicie o to, że towary, które wskutek nadmiaru wytwórczości stają się niesprzedażne w jednym kraju, zostają przerzucone na rynki obce. Tak np. gdy wybuchło na początku r. 1901 przesilenie w przemyśle żelaznym niemieckim, setki tysięcy ton żelaza niemieckiego zostały rzucone na rynki angielskie i francuskie, co spowodowało zaostrzenie przesilenia na tych rynkach.

Dr. J. B. Marchlewski.

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. *Prawit. Wiest.* donosi, iż za wykroczenie przeciw postanowieniom obowiązującym aresztowano w Moskwie d. 26 marca 26 osób, w tej liczbie 24 studentów i skazano na areszt policyjny od 1 do 3 miesięcy.

Zamach. D. 31 marca, podczas przyjmowania próśb przez oberpolicmajstra moskiewskiego, gen. Trepowa, wypuszczona niedawno z więzienia, za udział w zaburzeniach lutowych, nauczycielka, Eugenia Allardówna, wystrzałem z rewolweru usiłowała pozbawić go życia. Zamiar się nie udał, gdyż broń dwukrotnie spaliła.

Wiadomości społeczne. Sekcya techniczna przy warsz. oddz. Tow. przem. i handlu zamierzyła przedstawić zwierzchniej władzy krajowej memoryał w sprawie dostarczenia pracy robotnikom, będącym w ciężkiem położeniu skutkiem przesilenia przemysłowego.

Hakata w Warszawie. W wystawach niektórych sklepów warszawskich poumieszczano karty z napisem: „Man spricht hier deutsch“ (Tu mówią po niemiecku). *Warsz. Dniewnik* sądzi, że te ogłoszenia mają na celu wskazanie turystom-Niemcom, że „hier“ nietylko mówią po niemiecku, lecz sprzedają także i towary niemieckie.

Z uniwersytetów. Ministeryum oświaty ułatwia studentom finlandzkim wstępowanie do uniwersytetu moskiewskiego, na wszystkie wydziały, przez zwalnianie ich od opłat na rzecz uniwersytetu i profesorów.

— W politechnice ryskiej utworzono korporacyę studentów-Żydów.

— Rusini powracają w maju do uniwersytetu lwowskiego. Na półrocze letnie zapisało się ogółem 1,628 słuchaczów — 1,551 Polaków i 68 Rusinów.

— Uniwersytet w Belgradzie czasowo zamknięto, gdyż słuchacze postanowili nie uczęszczać na wykłady.

Szkoły. Uznano za pożądane, aby uczniom, którzy ukończyli czteroklasowe szkoły miejskie, ułatwić wstęp do szkół technicznych zreformowanych.

— Podkomisya do reformy szkół średnich uchwaliła, że nowe szkoły powinny zatrzymać nazwę gimnazyów. Co do ich programu wyrażono zdanie, że ćwiczenia fizyczne winny się odbywać codziennie pomiędzy wykładami przedmiotów naukowych, że lekarze winni korzystać z całkowitych praw członków rad szkolnych i kierować wychowaniem fizycznem młodzieży. Na śpiew przeznaczono pół godziny, dwa razy na tydzień. W każdej klasie ma być utworzony chór do śpiewania pieśni patryotycznych i narodowych rosyjskich. Szkoła winna pomagać rodzicom w kształceniu dzieci w muzyce. Nauczanie pracy ręcznej zalecono w gimnazyach, posiadających pensyonaty.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, że uczniowie-Żydzi, przechodzący z 4 i 6-klasowych progimnazyów do wyższych klas gimnazyalnych, nie podlegają egzaminom konkursowym, wymaganym od nowowstępujących dzieci żydowskich, lecz powinni być zrównani w prawach z uczniami innych wyznań; obowiązuje jednak w tym razie norma procentowa, ustanowiona dla Żydów.

Nauka. *Gaz. Pols.* donoszą z Zurychu, iż „część przebywających tam Polaków powzięła zamiar założenia za granicą uniwersytetu pod imieniem Mickiewicza, w celu rozwijania nauki polskiej i łączenia rozstrzelonej po świecie młodzieży naszej. Na odbytem w d. marca we Fryburgu zgromadzeniu wstępnem utworzyło się „Towarzystwo uniwersytetu Mickiewicza,“ mające na widoku pielęgnowanie nauki naszej przez założenie wydziału filozoficznego, jako instytucyi odrębnej, ustanawianie katedr przy uniwersytetach w różnych krajach, oraz udzielanie zapomóg i stypendyów. Członkowie Tow. dzielą się na dwie kategorye: na założycieli i zwyczajnych. Komitet wykonawczy wraz z sekretaryatem stoją na czele zamierzonej instytucyi. Tłumne wydalanie z zakładów naukowych niemieckich młodzieży naszej, czyż nie stanowi poważnego argumentu na rzecz uniwersytetu Mickiewicza?“

Zapomoga. Warsz. Tow. lekarskie zawiadamia, że z legatu dr. Romualda Plaskowskiego udzielona będzie w czerwcu r. b. zapomoga pieniężna w ilości 180 rb. 23 kop. delegatowi na jeden ze zjazdów psychiatrycznych, jakie w tym roku odbyć się mogą w kraju lub za granicą. Delegat, w myśl woli zapisodawcy, obowiązany będzie po powrocie złożyć Towarzystwu lekarskiemu treściwe sprawozdanie naukowe, które następnie wydrukowane będzie w „Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego.“ Podania o powyższą zapomogę należy nadsyłać pod adresem sekretarza stałego Tow. lek. w Warszawie (Niecała nr. 7) od d. 1 kwietnia do 1 czerwca r. b., z oznaczeniem zjazdu, na który kandydat pragnie wyjechać, z podaniem dokładnego adresu i wymienieniem zajęć lub prac swoich w dziedzinie psychiatryi.

Ruch kobiecy. Grono kobiet odeskich utworzyło (ponownie) Towarzystwo opieki nad dziewczętami, głównie z klasy robotniczej, pracującemi w fabrykach, w celu uchronienia ich od szkodliwych wpływów moralnych, wynikających z obecnych warunków życia. Tow. urządzać będzie dla nich wspólne mieszkania, biblioteki, sale do zabaw itp.

Stypendya. Warsz. Tow. lekarskie ogłasza, iż z początkiem przyszłego roku szkolnego będzie wakowało sześć stypendyów po 300 rb. z zapisu dr. W. Koczorowskiego, dla młodzieży, poświęcającej się zawodowi lekarskiemu, z pierwszeństwem dla studentów imienia: Koczorowskich, Chilewskich, Strojeckich lub Lechowskich. Oprócz tego będzie wakowało stypendyum z legatu dr. I. Gołębiowskiego, 225 rb. rocznie, dla studenta wydziału lekarskiego uniwersytetu warszawskiego, krewnego zapisodawcy lub innego studenta niezamożnego. Pragnący ubiegać się o powyższe stypendya winni składać podania do warsz. Tow. lekarskiego przed d. 15 września r. b. z dołączeniem: świadectwa władzy uniwersyteckiej o przejściu na kurs wyższy, z wykazaniem stopni przejściowych, metryki

urodzenia, świadectwa niezamożności i opisu przebiegu życia, a krewni zapisodawcy, oprócz tego—dowody ich powinowactwa z testatorem.

Konkursy. Dyrekcya filharmonii lwowskiej ogłosiła konkurs na afisz artystyczny, który jednocześnie w zmniejszonym formacie będzie użyty do programów. Nagroda 300 koron; termin nadsyłania wzorów do 15 maja r. b.

Hakata. Polacy, wydaleni z gimnazyów pruskich wskutek procesów politycznych, wnieśli podanie o przyjęcie ich do szkół w Bawaryi — lecz otrzymali odpowiedź odmowną.

— Sąd Rzeszy niemieckiej odrzucił skargę rewizyjną, wniesioną przez gimnazistów, skazanych w procesie toruńskim za należenie do związków tajnych.

Wystawy. We wrześniu r. b. odbędzie się w Wiedniu międzynarodowa wystawa rybacka.

Kongresy. W Monaco odbył się XI międzynarodowy kongres pokoju.

Zdrowie publiczne. W warsz. Radzie miejskiej dobroczynności publ. opracowano projekt założenia przy szpitalu Dzieciątka Jezus instytutu szczepienia wścieklizny systemem pasteurowskim.

— Lekarzom przyznano prawo otwierania gabinetów dentystycznych bez składania świadectw specyalnych.

— Ministeryum komunikacyj postanowiło utworzyć na kolejach posady dozorców sanitarnych, których obowiązkiem będzie przestrzeganie, aby wagony osobowe utrzymywane były w czystości.

— W Mekce szerzy się cholera wśród pątników, przybywających do grobu Mahometa; umiera po 200—300 osób dziennie.

— Wyspę Formozę ogłoszono za nawiedzoną przez dżumę.

Biblioteki. Naczelnik kolei Nadwiślańskich zatwierdził dla pracowników tej drogi projekt biblioteki, która ma powstać ze składek uczestników.

Zaburzenia. Z Rzymu donoszą, iż powołani do ćwiczeń żołnierze zapasowi odmawiają w różnych miejscowościach posłuszeństwa i przyznają się otwarcie do dążności społeczno - demokratycznych i antymonarchicznych. Rząd pierwotnie starał się zataić te objawy niekarności i nazywał wybryki „dzieciństwem.“ Obecnie przyznaje, że zachowanie się żołnierzy zapasowych upoważnia do obaw i konieczna jest szybka i gruntowna naprawa stosunków. (*Gaz. Pol.*).

Zjazd naczelników wszystkich kolei rosyjskich odbędzie się w Petersburgu d. 9 maja r. b. Na zjeździe tym rozpatrywaną będzie sprawa biletów okólnych w komunikacyi wewnętrznej.

Rolnictwo. Na mocy przepisów obowiązujących, grunty włościańskie, kupione przy pośrednictwie Banku włościańskiego, podlegają prawom ukazu Najwyższego z d. 19 lutego 1864 r., nie mogą więc być następnie nabywane przez osoby pochodzenia niewłościańskiego.

— Podolskie Towarzystwo rolnicze otwiera w maju r. b. we wsi Gumienne w pow. Winnickim, szkołę rolniczo-ogrodniczą, do której przyjmowane będą dzieci włościan miejscowych w wieku od lat 14, umiejące czytać i pisać.

Przemysł i handel. W jesieni r. b. otwarta będzie w Kijowie szkoła artystyczno-przemysłowa kosztem 200,000 rb., ofiarowanych przez Tereszczenkę.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa postanowiło dokonać w r. b. badań geologicznych w gub. Lubelskiej na pograniczu Galicyi i w gub. Kieleckiej, z powodu wykrycia źródeł nafty w tych miejscowościach.

— Zjazd w sprawie przemysłu domowego postanowił starać się o założenie banku państwowego w celu popierania pracy ludności miejskiej i wiejskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. w R. Obrazek Pani ma wiele zalet stylowych, ale treść jego rozwiewa się w nikłych liniach. Trzeba spróbować pióra w utworze konkretniejszym i nie tak drobnym. Może wtedy wyraźniej objawi się talent.

„Tak sobie.“ Alegorya Pańska jest zbyt prostą i ubogą w artyzmie. Prawdopodobnie naturze zdolności Pańskich bardziej odpowiadałyby utwory realistyczne. I dlatego o obrazy z przyszłej podróży prosimy.

Dr. L. Schroeterowi w Buffalo. Numery od 1-go wysłaliśmy; lecz zwracamy uwagę Sz. Pana, że cena prenumeracyjna wynosi 10 rb., nie 9.

Pani B. S., prenumeratorce w Kazaniu. O ile wiemy, rozbiorem poglądów Nordaua, wymieniony przez Panią pisarz, nie zajmował się. Czy się zajmie, powiedzieć nie umiemy.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Марта 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.